



---

ANNETTE  
BROADRICK

---

TA JEDNA  
WYMARZONA

---

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

---

Casey Carmichael pchnęła ciężkie drzwi baru i weszła do środka, pozostawiając za sobą nieprzychylny mrok nocy. Znalazła się w chmurze tytoniowego dymu. Zapiekł ją oczy, zakrztusiła się. Próbowwała przebić wzrokiem niebieskawą mgiełkę.

On musi gdzieś być na tej hałaśliwej sali! Musi być! Dowiedziała się, że nie opuścił miasteczka, mimo że niezbyt dobrze wypadł w tym tygodniu w rodeo. Może i nie przyszedłby go tu szukać, gdyby któryś ze stajennych nie wspomniał, że to jego ulubiony lokal, w którym spędza wszystkie wolne chwile.

Była zdesperowana, ale nie chciała, żeby się tego domyślał, a szukała go, ponieważ musiała go przekonać, że to, co mu zaproponuje, jest korzystne dla nich obojga. Ostatecznie nie miała nic do stracenia. Trzeba tylko propozycję uczynić na tyle atrakcyjną, by zechciał ją rozważyć.

Wejście Casey wzbudziło zainteresowanie. Wiele oczu zwróciło się w jej kierunku. Tutejsi bywalcy, słysząc trzaśnięcie drzwi, odwrócili głowy, chcąc wiedzieć, kto dołącza do ich grona w ten piątkowy wieczór.

Casey poprawiła stetsona, naciągając go bardziej na oczy, ale nadal ukrywając pod kapeluszem długie kasztanoworude włosy. Miała nadzieję, że strój i panujący w barze półmrok przynajmniej chwilowo skryją jej pleć. Z pewnością pomogą w tym wytarte dzinsy i jeszcze bardziej sprana dzinsowa kurtka.

W kilku spojrzeniach odczytała jednak, że jej wysiłki udawania młodego kowboja poszły na marne. A może miejscowi reagowali tak na każdego obcego? Ponieważ po raz pierwszy w życiu odwiedzała taki lokal, obce jej były zasady lokalnej etykiety.

Wyprostowała się i udając znudzenie, przyglądała się siedzącym na sali. Po tej lustracji obce twarze odwróciły się.

Dziękując bogom za łaskawość, Casey kontynuowała poszukiwanie człowieka, który w tej chwili był jej tak potrzebny. Po to tu przyszła, ryzykując własną reputacją, a nawet przyszłością.

Znała go tylko z opisów i barwnej fotografii zrobionej przed kilkoma laty podczas rodeo, w którym uczestniczył. Czy to wystarczy? Czy pozna go w tej zadymionej, źle oświetlonej salce?

Nagle z hałasem otworzyły się za nią drzwi i do baru weszła gromadka rozweselonych kowbojów, głośno omawiających swoje sukcesy w dosiadananiu byków.

Casey przyjrzała się kolejno każdemu z nich,, ale żaden nie kojarzył się jej z człowiekiem, którego szukała. Siłąc się na swobodny krok, podeszła do barowej lady zajmującej całą długość sali. Tyłem oparła się o mosiężną balustradę i zaczęła lustrować\* stoliki pośrodku baru i w alkowach pod ścianami. Nikt nie pasował do opisu, jaki utrwaliła w pamięci, a raczej stworzyła, korzystając z własnej wyobraźni i jednej fotografii. Nie wpadaj w panikę, dziewczyno, podtrzymywała się na duchu.

Usiłowała sobie przypomnieć wszystko, co wiedziała o tym człowieku. Samotnik! Zwłaszcza chyba po dniu, w którym przegrał.

Tak, jeśli tu jest, to na pewno siedzi sam. Ledwo to pomyślała, wzrok jej padł na siedzącego w najodleglejszej alkwie mężczyznę. Postąpiła kilka kroków w jego kierunku i stanęła niezdecydowana. Mężczyzna zniechęcał każdego, kto chciałby zakłócić jego spokój. Położył nogi na przeciwległej ławie, barykadując dostęp do niej. Casey zmobilizowała odwagę i podeszła. Stanęła przy stole, czekając, by mężczyzna podniósł na nią wzrok.

Nie uczynił tego. Był wpatrzony w stojącą przed nim butelkę wina. Nisko opuszczony kapelusz prawie zasłaniał mu twarz. Casey widziała tylko wydatną szczękę, ale coś jej mówiło, że znalazła człowieka, którego szuka. Chrząknęła i spytała:

- Bobby Metcalf?

Przez kilka sekund mężczyzna nie poruszył się i nie odpowiadał. Wreszcie uniósł nieco kapelusz i nie podnosząc głowy, burkliwie zapytał:

- A kto chce wiedzieć?

Casey usiadła na wolnym skrawku ławki naprzeciwko niego. Usiłowała przyjrzeć się twarzy mężczyzny. Zobaczyła wystające kości policzkowe, głęboko osadzone oczy i nos chyba niejedną już raz złamany.

- Nazywam się Casey Carmichael. Jeśli pan jest Bobbym Metcalfem, to chcę z panem porozmawiać.

- Na jaki temat?

Chociaż jadąc do miasteczka, powtarzała sobie wielokrotnie, co chce powiedzieć, nagle wszystko gdzieś się ulotniło. Podparła się łokciami na stole i zapytała raz jeszcze:

- Pan jest Bobbym?

- Może. i jestem. Ale kim, do diaska, jest pani i czego pani ode mnie chce?

- Na początek troszeczkę grzeczności... - warknęła.

Była bardzo zawiedziona. Rozmowa zapowiadała się na trudniejszą, niż sądziła.

Mężczyzna po raz pierwszy przeniósł wzrok z butelki na siedzącą naprzeciwko niego kobietę.

- To panienka mnie szukała, a nie ja panienkę. Siedziałem sobie grzecznie, nikomu nie zawadzałem i mnie dotąd nikt nie zawadzał...

Casey czuła, że czerwienieje ze złości. Wyprostowała się, przyjmując godną postawę osoby głęboko urażonej.

- Nie przeszkadzałabym panu, gdybym nie potrzebowała pomocy i to właśnie pańskiej. Przyjaciółka wspomniała mi raz o panu...

- Jaka znowu przyjaciółka?

- Dolores Bennett. DeeDee i ja...

- Nie znam żadnej Dolores ani DeeDee. - Chwycił ze stołu do połowy opróżnioną już butelkę i wychylił do dna, po czym skinął na kelnerkę.

Kiedy po chwili podeszła, spytała dość obcesowo:

- Co podać?

- To samo - mruknął.

Casey zamówiła coca-colę, a gdy kelnerka odeszła, wyjaśniła:

- Brat DeeDee jeździł z rodeo po całym stanie, a ja...

- Teraz wiem. Mówi pani o Bulldogu Bennecie! - W głosie mężczyzny pojawiła się nuta rozbawienia.

- Bulldogu? Wiem, że ma na imię Brad.

- Ten sam, ten sam! Więc zna pani Bulldoga?

- Niezbyt dobrze. Chodziłam do szkoły z jego siostrą. Ich rodzina ma ranczo koło Cielo.

Kelnerka wróciła z winem i coca-colą. Mężczyzna podał kelnerce banknot i powiedział:

- Proszę zatrzymać resztę,

- Dziękuję, Bobby! - Kelnerka szeroko się uśmiechnęła i odeszła.

Casey upiła kilka łyków i przystąpiła do rzeczy.

- W przyszłą sobotę mam wyjść za mąż... - zaczęła.

- Moje gratulacje - powiedział ironicznie mężczyzna i jednym tchem wypił spory haust z butelki.

- Kiedy ja właśnie nie chcę tego ślubu - wykrztusiła.

- I przyjechałaś mnie to powiedzieć, cukiereczku? A nie uważasz, że należałoby najpierw poinformować o tym tego, za którego nie chcesz wyjść?

DeeDee nie uprzedziła Casey, że ten Bobby Metcalf jest taki sarkastyczny i niemiły. Może go dobrze nie znała. Większość tego, co o nim opowiadała, pochodziło od jej brata. Casey miała nadzieję, że

braciszek nie przesadził, opisując cnoty Bobby'ego, a raczej jego niekonwencjonalną reputację.

- Niech pan posłucha. Wiem, że jeszcze nie może pan zrozumieć, o co chodzi, ale kiedy DeeDee opowiadała mi o panu, to wspomniała, że jej brat mówił.. - Zamilkła, gdyż zauważyła, że Bobby nagle sztywnieje, zdejmując nogi z ławki, na której przez cały czas je trzymał, i jakby groźnie się prostuje.

Przestraszyła się nie na żarty. Takiego człowieka naprawdę można się bać!

- Co Bulldog o mnie opowiadał? - spytał ściszym, ale prawie syczącym głosem.

- Że kiedyś umknął pan do Las Vegas i ożenił się z kobietą, której właściwie wcale pan nie znał... - wykrztusiła z siebie szybko, jakby w obawie, że zabraknie jej odwagi.

Mężczyzna prychnął, ni to ze złością, ni z rozbawieniem.

- To było dawno, cukiereczku, kiedy byłem młody i strasznie głupi. Od tego czasu zmądrzałem... Ale dlaczegoż to ta stara wiadomość sprzed lat tak panią interesuje?

- Ile by pan chciał za ożenie się ze mną? Zabrzmiało to jak strzał z pistoletu.

Bobby Metcalf wybuchnął głośnym śmiechem. Casey spodziewała się reakcji, ale nie takiej. Z drugiej strony... Byli sobie obcy. Z jakiej racji miałby potraktować ją poważnie? Teraz ona musi go przekonać, że propozycja jest poważna i uzasadniona okolicznościami. Czy to potrafi?

Bobby Metcalf przestał się śmiać, ale nadal szczerze rozbawiony zapytał:

- Więc jak to jest? Bo nie wiem, czy dobrze zrozumiałem. Ślub pani jest zaplanowany za siedem dni. Ale woli pani przedtem wyjść za mąż za kogoś, kogo pani nie zna. Czy nie byłoby lepiej, prościej i taniej po prostu odwołać ślub, który i tak będzie musiał zostać odwołany, skoro oblubienica okaże się mężatką?

Długo się zastanawiała, nim odpowiedziała:

- Postaram się to panu wyjaśnić, żeby zrozumiał pan dylemat. Prawie od roku jestem zaręczona ze Steve'em Whitcombem... Zresztą nazwisko nieważne. Pan i tak go nie zna... Na pewno wyda się panu znowu śmieszne to, co powiem, ale tak jest naprawdę. Dopiero ostatnio zdałam sobie sprawę, że zaręczyłam się ze Steve'em wyłącznie po to, by sprawić przyjemność ojcu. Bo Steve reprezentuje wszystko, co ojciec chciałby widzieć w synu, gdyby go miał... Zdaję sobie sprawę, iż ojciec jest rozczarowany, że ma tylko córkę. I tą córką jest rozczarowany. - Wzruszyła ramionami i chwilę milczała.

Bobby Metcalf pilnie się jej przyglądał. Twarz miał poważną.

- Pomyślałam sobie - ciągnęła - że jeśli wyjdę za kogoś, kto tak bardzo podoba się ojcu, to może i ja uzyskam wreszcie jego aprobatę... Zresztą na początku myślałam, że jestem zakochana w Stevie. Pewno dlatego, że mu uwierzyłam, kiedy mi powiedział, iż przez całe życie czekał na taką kobietę, jak ja... Poczułam się okropnie upokorzona, kiedy poznałam prawdę. Poznałam ją przypadkiem przed kilkoma tygodniami. Otóż przez cały czas naszego narzeczeństwa ma



inną kobietę... On mnie nie kocha. Nigdy mnie nie kochał. Jest wstrętnym, ohydny kłamcą i...

- Hola, hola, cukiereczku... - przerwał jej Bobby. - Nie prosiłem o charakterystykę pani przyszłego małżonka. Jeśli nie chce pani za niego wyjść, to niech mu pani to powie...

- Niech pan nie myśli, że nie próbowałam. Roześmiał mi się w twarz i powiedział, żebym porozmawiała z ojcem. Na nieszczęście mój ojciec traktuje mnie jak dziecko. Uważa, że jestem za młoda, by znać się na jakichkolwiek uczuciach, i że nie potrafię sama wybrać sobie męża. Tak sobie ubrdał i nie ma siły, żeby zaczął myśleć inaczej. Jego zdaniem wybrał mi odpowiedniego męża, który w przyszłości będzie potrafił zarządzać tak zwanym imperium rodzinnym. Ojciec uważa, że przechodzę zwykły przedślubny kryzys. Nerwy i tyle. I że na przyjaciółkę Steve'a powinnam przymknąć oczy. Właściwie to był bardziej zmartwiony tym, że się o tym dowiedziałam, niż jej istnieniem...

- A co na to wszystko pani matka?

- Pojęcia nie mam. Rzuciła ojca, kiedy miałam osiem lat. Od tego czasu o niej nie słyszałam. Jeśli ojciec traktował ją tak, jak traktuje mnie, to nic dziwnego, że uciekła. Zdaniem ojca kobiety to bezrozumne istoty, którymi trzeba kierować.

- Jak pani się nazywa? - spytał i pociągnął z butelki. - Bo zapomniałem.

- Casey Carmichael.

Mężczyzna pokiwał głową, jakby chciał dać do zrozumienia, że wszystko staje się jasne.

- Córeczka Grahama Carmichaela? Hmm... Jedno odziedziczyła pani po ojcu - czelność. Nie w złym znaczeniu. Myślę o szczególnej odwadze. Proponować obcemu człowiekowi małżeństwo? Co pani chce osiągnąć? Wywołać wielki skandal, żeby tatuś zwrócił wreszcie uwagę na córeczkę?

Po długim milczeniu, w czasie którego zastanawiała się raz jeszcze, nad swoim pomysłem, odparła:

- Chyba ma pan rację. Chcę, żeby zwrócił uwagę na mnie i na to, że jestem żywą istotą o własnych pragnieniach, marzeniach i nawet uzdolnieniach. I chcę móc prowadzić własne życie na własny rachunek.

- De masz lat, cukiereczku? - spytał po chwili zadumy.

- Po pierwsze, proszę mnie nie nazywać cukierczkiem. To brzmi okropnie. A po drugie, co pana obchodzi, ile mam lat? Chyba źle trafiłam. Myślę, że DeeDee wprowadziła mnie w błąd. - Wstała. - Bardzo przepraszam. Pójdę sobie... - Nie zauważyła, że w czasie rozmowy Bobby Metcalf położył nogę na ławce tak, iż odciął jej drogę. - Proszę zabrać nogę!

- Niech pani siada! Przepraszam, jeśli panią dotknąłem. I niech pani mówi dalej. Więc tylko dlatego mnie pani odszukała, że pani przyjaciółka opowiedziała jej starą historię o mnie i o tej kobiecie? Pomyślała pani, że jestem gotów powtórzyć podobny dowcip?

Casey stała niezdecydowana.

- No, niechże pani siada!

Usiadła i zwiesiła głowę. Potem westchnęła i zaczęła mówić:

- Niczego tak bardzo nie pragnę, jak uzyskać wolność.

Wyzwolić się od ojca, od Steve'a, uciec od całego dotychczasowego życia... Pomyślałam sobie, że jeśli znajdę kogoś, kto zechce mi pomóc, to oboje możemy na tym skorzystać...

- A cóż ja miałbym na tym skorzystać? - Wbrew sobie był coraz bardziej zaintrygowany propozycją.

- DeeDee mi powiedziała, że zbiera pan pieniądze, żeby kupić sobie własne ranczo.

- Więc co?

- W testamencie dziadka mam zapisane pieniądze, w funduszu powierniczym, którym będę mogła dysponować po wyjściu za mąż. Jestem gotowa podzielić się z panem.

- Ile pani ma lat? - powtórzył pytanie.

- Jeśli już koniecznie chce pan wiedzieć, to osiemnaście.

- Tylko tyle? To mi wiele wyjaśnia. Po pierwsze, to bardzo nierozważnie ofiarowywać obcym swoje pieniądze. Może pani trafić na kogoś, kto zechce potraktować to poważnie, ze wszystkimi konsekwencjami dla siebie i dla pani. Po drugie, to bardzo nieładnie z pani strony przekupywać mężczyznę, żeby pani pomógł. Taki, co pomoże tylko wtedy, kiedy się go przekupi, nie jest wiele wart. A po trzecie, po jakiego diabła potrzebne pani małżeństwo w osiemnastym roku życia? I jak ojciec mógł panią zachęcać do czegoś podobnego?

- To Steve chciał się ze mną ożenić zaraz, jak zdam maturę. Pomyślałam sobie, niech będzie i że po ślubie pójdę na uniwersytet. Myślałam, że Steve rozumie, jak bardzo chcę kontynuować naukę. Zawsze chciałam zostać weterynarzem. Od lat o tym mówię. Dopiero ostatnio usłyszałam z ust Steve'a i mojego ojca, że to właściwie nie ma sensu. Przez długi czas Steve udawał, że popiera moje zamiary. Dopiero teraz się odsłonił.

- A ile lat ma ten uroczy typek?

- Dokładnie nie wiem. Ale ponad trzydzieści. Może trzydzieści dwa.

- Taki stary? Przykro mi panią rozczarować, ale ja też opuściłem już grono młodzików.

- Mnie nie obchodzi, ile pan ma lat. Mój plan polega na tym, że kiedy udowodnię ojcu i Steve'owi, że jestem już mężatką, to się rozwiedziemy albo anulujemy nasze małżeństwo i każde pójdzie swoją drogą... Kiedy DeeDee opowiedziała mi o panu, to od razu sobie pomyślałam, że byłby pan idealnym kandydatem. - Jej ton wskazywał jednak, że zaczyna w to wątpić.

- Ha! Oto drogi, jakimi człowiek zdobywa rozgłos! Moim jedynym powodem do sławy jest odległy w czasie fakt, że w Las Vegas poślubiłem nie znaną mi jeszcze poprzedniego dnia kobietę. Będzie się to za mną wlokło przez całe życie. Jak ogon za lisem.

- Nie jest to pańskie jedyne osiągnięcie. Jest pan sławny jako mistrz w dosiadanu byków i chwytaniu na lasso...

- Niech pani mi tego nie przypomina. Każdego poranka, kiedy się budzę, całe moje ciało wysyła sygnały dowodzące mojej młodzieńczej głupoty. - Zamyślił się, patrząc w sufit.

- No więc, jak? Zastanowi się pan nad moją propozycją? - przerwała milczenie.

- Drogi cukiereczku... Bardzo przepraszam... droga osiemnastolatko, przyznaję, że mnie pani szczerze ubawiła. Podobała mi się pani historyjka, ale ja nie chcę uczestniczyć w jej dalszym ciągu. Czy nie przyszło pani do głowy, że szanowny tatuś może mieć rację? Że to są przedślubne... jak to nazywają? ...niepokoje. To się często zdarza, a osoba, którą to dotyka, nawet o tym nie wie. Ten pani Steve to może być bardzo porządny chłop. Skąd pani przyszło do głowy, że ma inną kobietę?

- To nieważne, skąd wiem. Wiem, że ma z nią dwuletnie dziecko. I doszły mnie słuchy, że w kręgu bliskich przyjaciół opowiada, jak bogato się żeni. Nie przyszło mu do głowy, że ktoś może mi to powtórzyć, a zrobiło to kilka życzliwych osób. Jeszcze panu mało? Mam inne dowody.

- Wystarczy, wystarczy! I pani ojcu to nie przeszkadza?

- Ojciec uważa, że jestem przeczulona i że moim zadaniem jest przywiązanie Steve'a do ogniska domowego. - Mówiła to z dużym niesmakiem.

- Hm, w istocie sytuacja niemiła. Ale ja nie mam najmniejszej ochoty uczestniczyć w pani wendecie na ojcu i na wybranym przez niego zięciu, rodzinnym ogierze. - Wstał. - Muszę już iść. Jestem

bardzo zmęczony, a wczesnym rankiem wyruszam w drogę. A panienska niech lepiej wraca do domu, nim ktoś zauważy jej nieobecność... Umówmy się, że tej rozmowy nie było.

Casey także wstała i natychmiast odwróciła się, by ukryć łzy przed tym przebrzydłym człowiekiem. Nie oglądając się za siebie, poszła do drzwi wyjściowych, opuściła bar i niemal pędem ruszyła na parking, gdzie zostawiła samochód.

Połykając łzy, wytykała sobie, że była taka głupia i tu przyjechała. To wielka naiwność sądzić, że ktoś może zaakceptować tak poroniony pomysł. Zwłaszcza że nie trzeba za nikogo wychodzić, by uniknąć ślubu ze Steve'em. Wróci dziś do domu, a jutro zapakuje trochę rzeczy i wyjedzie na przykład do Las Vegas. Tam może się przez kilka dni ukrywać, a potem ruszy dalej na zachód i odwiedzi na przykład Kalifornię. Nikt jej nie może zmusić do małżeństwa, którego nie chce!

Ten nowy pomysł podniósł ją na duchu. Wyprostowała się i szybkim krokiem pomaszerowała przez parking do nowego samochodu, jaki przed kilkoma tygodniami otrzymała od ojca jako maturalny prezent. Wtedy nie była jeszcze świadoma całej sytuacji i nie zdawała sobie sprawy, że samochód jest jakby łapówką za to, by cicho i posłusznie poszła do ołtarza. Myślała naiwnie, że jest to tylko przejaw rodzicielskiej miłości. Miłości! Ha!

Zobaczyła swój wóz, a jednocześnie czterech bardzo zainteresowanych nim mężczyzn, którzy popijając piwo z butelek,

oglądali go, śmiali się i wymieniali jakieś uwagi. Wyjęła z kieszeni kluczyki i podeszła ostrożnie do samochodu.

- Hej, mały! To twoje koła czy twojego tatusia? - odezwał się jeden z obserwatorów i pijacko zarechotał przy wtórze swych przyjaciół.

- Moje - odparła, nie chcąc ich drażnić i elektronicznym przyciskiem na kółku do kluczyków otworzyła drzwi.

Natychmiast zdała sobie sprawę z popełnionego błędu: jej przebranie dobre było w wieczornym mroku dopóty, dopóki się nie odezwała.

- Hej, hej, kochaneczko! Toś ty dziewczyna! Może przewieziesz nas w swojej zabawce? A może nawet mnie namówisz, żebym ci coś ładnego pokazał... - Trzej kompani mówiącego głośno zarechotali.

Casey była zbyt wściekła na cały świat, a zwłaszcza na gatunek męski, by się czegokolwiek bać. Zignorowała zaczepkę i zbliżyła się do drzwi wozu.

Drogę zastąpił jej ten gadatliwy.

- No i co, kochaneczko? Kto wie, czy to nie jest twój szczęśliwy wieczór...

- Dziękuję, nie skorzystam. - Obeszła go i ujęła klamkę drzwi.

Gdy je otworzyła, mężczyzna chwycił ją brutalnie za ramię.

- Ma humorki dziewczynka? - Znowu się wszyscy zaśmieli.

Casey najpierw się poddała, a potem w powolnym obrocie niemal jednocześnie kopnęła napastnika w przyrodzenie i prostym



sierpowym, pięścią uzbrojoną w samochodowe kluczyki, zadała mu cios w szczękę.

Nagle jakby rozgorzała wokół niej trzecia wojna światowa. Trzej przyjaciele powalonego na ziemię ryknęli nie słabiej niż ryczał ich zwijający się z bólu kompan, który wykrzykiwał przekleństwa, jakich nie powinno wypowiadać się przy damach, i rzucili się na nią. Jeden z nich złapał ją, wykrzykując do ucha coś, czego nie potrafiła zrozumieć. Casey doszła do nieco spóźnionego Wniosku, że z całą czwórką nie powinna była zaczynać. Ale stało się. Zaczęła się wyrywać, rozdając celne kopniaki.

W pewnej chwili usłyszała groźne „Zostawcie ją!” i rozpoznała głos Bobby'ego Metcalfa.

Napastująca ją trójka popełniła niewybaczalny błąd. Ponieważ była kobietą, do tego szczupłą i niższą od nich, nie przyszło im do głowy, że potrafi walczyć. I to jak! Ten, który usiłował ją pochwycić i unieruchomić od tyłu, w pewnej chwili odskoczył z okrzykiem bólu, otrzymawszy celne kopnięcie zadane podwiniętą nogą. Gdy zmagala się z następnym, ostatni stanął przed Bobbym.

- Odwal się, stary! Nie twoja sprawa! Umykaj, bo oberwiesz!

Uwagę Casey odwrócił na chwilę widok pokonanego następnego przeciwnika, który łapiąc się za brzuch i wrzeszcząc, skulony wycofał się z walki. Gdy odwróciła głowę, zobaczyła już tylko, jak Bobby rozciera sobie pięść, a na ziemi leży ostatni z czterech napastników.

- Niech pani szybko wsiada! - rozkazał, co też niezwłocznie uczyniła.



Włożyła kluczyk do stacyjki i w tym momencie została przez Bobby'ego uniesiona, jakby ważyła nie więcej niż piórko, i przesadzona na miejsce obok. Bobby zajął fotel kierowcy, uruchomił silnik, dodał gazu i z głośnym rykiem-wyjechał z parkingu, pozostawiając podnoszących się z ziemi napastników, ze złością coś wykrzykujących i wygrażających pięściami.

- Pojęcia nie mam, jak panienka przeżyła osiemnaście lat, wdając się w burdy z podobnymi typkami. Chce panienka popełnić samobójstwo?

- Niech, pan da spokój z tą panienką. Nie podoba mi się tak samo jak cukierczek. A jeśli chodzi o pańską uwagę, to byłam zła, rozsierdzona. Mam dosyć traktowania mnie jak ozdobę uwieszoną ramienia mężczyzny. Pan mnie też rozzłościł... A w ogóle to jestem zła, że mam tylko osiemnaście lat. Spadek po dziadku mogę dostać dopiero po skończeniu dwudziestu pięciu lat, chyba że wyjdę za mąż. Widać, że mój dziadek pochodził z innej epoki...

- Nie sądzę, aby nieprzemyślane małżeństwo z obcym mężczyzną było właściwym rozwiązaniem problemu - powiedział po dłuższej chwili Bobby.

- Ja też tak sądzę - odparła nieoczekiwanie. - Chyba że warunki umowy są wyraźnie zdefiniowane. Mnie zależało tylko na pańskim podpisie na akcie ślubu. Za to gotowa byłam, i jestem, dużo zapłacić. Świadeństwo ślubu dałoby mi wolność. Uniezależniło od ojca i zabezpieczyło przed spiskującym Steve'em. Dałoby mi dostęp do moich własnych pieniędzy. Mogłabym zacząć studiować, czego tak

bardzo pragnę. Chciałam na pewien czas po prostu pożyczyć od pana pańskie nazwisko za połowę mojego spadku. Nie rozumiem, jak można przepuścić taki doskonały interes. Mówię to panu! Ale pan nie myśli o sobie i swojej farmie, tylko mnie wyśmiewa...

- Wcale pani nie wyśmiewam. Tylko ostrzegałem, że niewiele wie pani o świecie i mężczyznach. A jeśli ja jestem seryjnym mordercą? Co pani właściwie o mnie wie? Tyle co nic. Plotki od swojej przyjaciółki na temat przyjaciela jej brata! A ja nic o pani nie wiem. A owszem, wiem. Czegoś się w końcu dowiedziałem na parkingu. Lepiej potrafi pani dbać o swoje interesy, niż mogłem podejrzewać. Umie się pani bronić, choć nie umie kalkulować szans. Jedna na czterech to zbyt wielkie ryzyko...

Casey zignorowała ostatnią uwagę i powróciła do pierwszego wątku rozmowy.

- Znam pana, to znaczy wiem o panu więcej, niż pan przypuszcza. I nie jest pan seryjnym mordercą. Brad nie wiedział, dlaczego tak go wypyujemy o pana, ale domyślał się, że poszukujemy kogoś takiego jak pan i powiedział jedną ważną rzecz: że można panu ufać. Że nigdy nie złamie pan danego słowa.

- Późno się nauczyłem, ale tak jest. Brad powiedział wam prawdę.

- To już nieważne. Pan miał rację. Głupi był ten mój pomysł z małżeństwem. Na szczęście ojciec pozwolił mi wyjechać z domu, bo go jakoś przekonałam, że jestem zdecydowana wziąć ślub ze Steve'em. Gdyby coś podejrzewał, toby mnie nie wypuścił. Ale więcej

ryzykować nie będę. Miałam zamiar wrócić po trochę rzeczy, ale nie wracam.

- A dokąd szanowna pani miała zamiar jechać, nim zwróciła na siebie uwagę osobników na parkingu?

- A dokąd pan jedzie teraz? - odparła pytaniem, chcąc odwrócić jego uwagę.

Była pewna, że jej nowy pomysł też spotkałby się z miażdżącą krytyką.

- Wszystko jedno dokąd, byle zmylić ślady i uniemożliwić tamtej czwórce ruszenie w pogoń. Czy pani któregoś z nich znała przedtem?

- Ależ skąd! - obruszyła się.

- Ale oni znają teraz panią i zapamiętają ten czerwony sportowy wóz. Zbyt dużo takich nie ma.

- W tej chwili mam większe zmartwienia niż czwórka rozzuchwalonych chuliganów.

Bobby zjechał na parking ciężarówek.

- Po co zjeżdżamy? - spytała.

- Bo ci głupi fabrykanci włożyli pod maskę silnik spalinowy, co nie oznacza jednak, że można nim jeździć na spalinach. - Pokazał jej wskaźnik paliwa. - Zero!

- Ojej!

- Nie chce pani „cukiereczka”, nie chce „panienki”, a zachowuje się jak dziecko. Nieustannie potrzebny jest pani opiekun. Jak można jeździć bez benzyny?

- Myślałam o innych sprawach.

- Wiem. O znalezieniu kretyna, który zgodzi się panią poślubić.

- Z tego już zrezygnowałam.

- Bardzo się z tego cieszę. Więc jak szanowna pani ma zamiar spędzić ten wieczór, jeśli nie wraca pani do domu?

- Nie pańska sprawa.

- Święta prawda, ale z natury jestem ciekawy. Poza tym... sam nie wiem dlaczego, ale mój instynkt opiekuńczy daje mi alarmujące sygnały, że białogłowa gotowa jest popełnić jakieś głupstwo. Białogłowa w potrzebie to oczywiście pani.

- Jeszcze nie wiem...

- Otóż to, otóż to! Owszem, podzielam pani opinię, że nie należy wychodzić za kogoś, kogo się nie chce. Mogę najwyżej sądzić, że dramatyzuje pani sytuację. Jeśli nie wraca pani do domu, to dokąd chce pani jechać? Do swojej przyjaciółki, siostry Brada?

- O nie! Ojciec zacząłby mnie szukać przede wszystkim tam. Pojadę do Las Vegas. Pobędę tam kilka dni. A potem... Może pojadę do Kalifornii. Mojemu ojcu nigdy nie przyjdzie do głowy szukać mnie w innym stanie.

Bobby podjechał pod pompę benzynową i szybko wyszedł z wozu, by nie ulec pokusie i nie powiedzieć Casey, że jej pomysł jest zupełnie idiotyczny.

Casey wysiadła również, poszperała w torebce i wyjęła z niej kartę kredytową.

- Proszę! - Podała mu kartę. Bobby spojrział na nią i głośno jęknął.

- To karta pani ojca?

- Tak. A bo co?

- Dwie sprawy. Pierwsza: rzuca pani ojcu wyzwanie, ale gotowa jest korzystać z jego pieniędzy. No i druga: pani ojciec bez trudu panią znajdzie, zawiadamiając policję. Policja zaczyna od szukania dowodów korzystania z karty kredytowej.

- Moja odpowiedź na pierwsze i na drugie jest krótka: nie jestem rozpieszczoną córeczką tatusia! Chcę tylko wolności. Uzyskam ją, gdzie się ukryję, zacznę pracować i kartę mu odeślę. A ponadto: ojciec nigdy nie zwróciłaby się do policji, by mnie szukać.

- Nie rozumiem, dlaczego? Gdyby pani była moją córką, to-bym to zrobił. Myśli pani nieco naiwnie i zbyt idealistycznie...

- Dobrze. Nie używajmy karty. Mam gotówkę. A jak się wyczerpie, to wtedy pójdę do bankomatu...

- I zdradzę miejsce mojego pobytu - dokończył Bobby. - Niechże panienka, przepraszam, pani wydorosleje. Nie ma sposobu ucieczki.

- Nie wracam do domu! - Tupnęła i skrzyżowała ręce na piersiach.

Bobby, naśladowując ją, zrobił to samo. Potem wyrzucił z siebie ze złością:

- Nie masz grama rozumu, dziewczyno! Czy ty nie zdajesz sobie sprawy, jak niebezpieczne jest podróżowanie dla samotnej kobiety? Zwłaszcza do Las Vegas. I jeśli jakimś cudem uda ci się uniknąć

napadu i zgwałcenia, udasz się do Los Angeles, tak? - Podniósł ręce do góry, jakby błagał niebiosa o rozsądek dla swej rozmówczynie.

Casey wzruszyła ramionami, odwróciła się i odeszła w mroczne rejony stacji benzynowej.

Bobby zabrał się do nalewania paliwa. Jednocześnie myślał o swojej przymusowej towarzysze podróży. Po raz pierwszy zobaczył wyraźnie jej twarz w jaskrawym świetle stacji. Wydawała się bardzo młoda, bardzo niewinna i bardzo bezbronna. Musiał przyznać, że dziewczynie nie brak odwagi i nerwu. Na spotkanie z nim ubrała się doskonale. W słabym oświetleniu każdy wziąłby ją za chłopaka. Umiała walczyć dosłownie i w przenośni. No i miała wspaniałe oczy koloru whisky...

Bobby odwiesił węża i poszedł zapłacić. Miał zamiar poprosić ją, by wrócili do baru, gdzie się spotkali. Tam na parkingu zostawił swoją ciężarówkę. Miał nadzieję, że do tego czasu czwórka napastników już się ulotni, by w jakimś kącie zlizywać rany.

Wszystko to bardzo piękne, tylko że te jej oczy i ich wystraszone spojrzenie... Co go to właściwie wszystko obchodzi? Wpakowała się dziewczyna w kabałę, ale to nie jego sprawa. Dlaczego więc się tym tak przejmuje? Bo jesteś skończonym idiotą! - odpowiedział sobie w duchu.

Kiedy wrócił do samochodu, Casey siedziała za kierownicą. Bez słowa zajął miejsce obok niej.

- Nie musiał pan płacić za moją benzynę - powiedziała.

- Wiem, że nie musiałem - odparł. Podała mu dwudziestodolarowy banknot.

- Zawiozę pana z powrotem do baru. Zakładam, że przyjechał pan tam samochodem i zostawił go na parkingu. - Wyjechała na szosę.

- Zostawiłem. Ciężarówka.

Drogę powrotną odbyli w milczeniu. Gdy podjechali w pobliże baru, Bobby wskazał swoją ciężarówkę i Casey zatrzymała się przy niej. Spojrzała zdziwiona na Bobby'ego, który nie miał zamiaru wysiadać i ze złożonymi na kolanach dłońmi patrzył zamyślony przed siebie. Czując jej wzrok, powiedział:

- Niepotrzebne są mi pani pieniądze, Casey. A jeśli pani myśli, że to pomoże pani wybrnąć z kłopotów, ostatecznie mogę... pojechać do Las Vegas i wziąć ten ślub... Myślę, że popełnia pani błąd, chcąc w ten sposób wykaraskać się z kłopotów, ale te nowe pani pomysły są jeszcze gorsze i boję się, że może się pani przytrafić coś złego. Nie miałbym spokoju...

- Mówi pan poważnie?

- No... chyba tak. Bo podoba mi się pani odwaga i nie chciałbym mieć sumienia obciążonego wyrzutami z pani powodu... Ale musi mi pani obiecać, że zaraz po tym pojeździe pani na uniwersytet i zacznie studiować i że nie będzie pani ofiarowywała obcym mężczyznom połowy spadku za udzielenie jej pomocy...

Zaskoczony milczeniem, zerknął na dziewczynę i zobaczył, że po policzkach spływają jej łzy.

- A to co znowu? - Nie znosił płaczących kobiet.

- Bardzo ci dziękuję, Bobby! Bardzo! Może kiedyś ci się odwdzięczę...

- Nie potrzeba. - Westchnął. - No cóż, wzbogacam swój życiorys. Będą mnie znali jako tego, który był zawsze gotów żenić się z obcymi kobietami. No, ale dość tego. Czeka nas długa droga.

- Mamy jechać od razu?

- A niby jak? Powiedziała pani, że nie zamierza wrócić do domu. A mnie czeka za kilka dni rodeo w Wyoming. Muszę się pospieszyć z całą tą żeniaczką... - Chrząknął z rozbawieniem.

Casey zrobiła to samo, choć zabrzmiało to jak wymuszony żabi skrzek.

- Nie zabrałam ze sobą żadnych rzeczy. Nie myślałam, że tak szybko... Ale czy to ważne w Las Vegas? Chyba nie...

- Coś kupimy po drodze. Dziennego i nocnego. Bo przecież po całonocnej drodze musimy jeszcze co najmniej dzień zostać w Las Vegas. Dla pani ojca będzie to bardziej przekonujące, gdy stwierdzi, że para zakochanych gołąbków została dłużej w tym mieście. A sprawdzi, sprawdzi! Będzie pani szukał. I mnie też.

- Być może. Czy daleko jest do Vegas?

- Ponad tysiąc trzysta kilometrów. W nocy będziemy jechali szybciej, ale przed jutrzejszym wieczorem nie dojedziemy. Sprawunki, jedzenie i tym podobne rzeczy zajmą nam przecież trochę czasu.

Wysiadł z samochodu Casey, poszedł do swojej ciężarówki, zabrał z niej torbę, a ciężarówkę dobrze zamknął.



- Nie po raz pierwszy zostawiam ciężarówkę na kilka dni przed jakimś barem czy motelem. Może tu spokojnie postać do mojego powrotu - powiedział, gdy wrócił do czerwonego samochodu Casey i polecił jej przesunąć się na miejsce pasażera, a sam zajął fotel kierowcy,

- A więc żegnaj Teksasie, witaj, Nevado! - wykrzyknął niemal wesoło i uruchomił silnik.

Scandalous

---

## ROZDZIAŁ DRUGI

---

Jechali przez Arizone, kiedy Casey przyszło do głowy, że być może zbyt pochopnie postanowiła wyjść za mąż za kogoś, kogo nie zna. Jadąc przez pęsną, rozgwieżdżoną krainę, miała wiele czasu na rozmyślanie nad swoim losem. Teraz ona prowadziła, a Bobby odpoczywał, smacznie śpiąc. Kiedy on prowadził, też rozmyślał o nowej sytuacji, a przede wszystkim o przebiegu rozmowy, którą pewnego dnia będzie musiał odbyć z panami Grahamem Carmichaelem i Steve'em Whitcombem.

Casey zerknęła na Bobby'ego i nagle, mimo że przed chwilą zaczęła wątpić w słuszność poślubienia obcego mężczyzny, teraz zaczęła się bać, że Bobby wycofa się ze swojej propozycji i gdy się obudzi, każe jej wracać do Teksasu.

Po kilkunastu minutach zaczęła się bać zupełnie czegoś innego: a co będzie, jeśli po ślubie Bobby postanowi, że ona jest jego... prawdziwą żoną? Nie, chyba tego nie robi. DeeDee przysięgała, że Bobby przez wiele lat był zaręczony z dziewczyną, którą znał od dzieciennych lat. Dosłownie na tydzień przed ślubem ożenił się z kimś zupełnie innym, bo. nie chciał zenić się z kimś, kogo nie kochał. Właśnie ta opowieść podsunęła Casey pomysł poszukania Bobby'ego i zaproponowania mu tego samego, bo ona była w identycznej sytuacji...

Po godzinie przyszła jej do głowy kolejna niepokojąca myśl: a jeśli Bobby jest alkoholikiem albo coś takiego? Nie, o tym nie

warto myśleć. Byłoby to ważne, gdyby miała z nim zostać, ale przecież zaraz po złożeniu podpisów na akcie ślubu pożegnają się raz na zawsze...

Przyszedeł czas na nowe wątpliwości: Bobby postąpił niezbyt etycznie, zostawiając biedną narzeczoną na lodzie. I to tydzień przed ślubem. Ona naśladuje go, też właściwie postępuje niegodnie. Powinna była zdobyć się na odwagę i powiedzieć Ste-ve'owi w oczy...

Oczywiście w każdej chwili może zawrócić do Teksasu, pojechać na ranczo ojca i rzucić się w ramiona Steve'a. Jeszcze nie jest za późno.

Tylko że ja jestem tchórzem, pomyślała. I wiem, że chociaż zamierzam zrobić coś, czego nie powinnam, brak mi odwagi, by tego nie robić.

DeeDee powiedziała, że Brad zna go od niepamiętnych czasów. Ale to właściwie nic nie znaczy. Casey spojrzała na Bob-by'ego. Po ślubie on może zrobić z nią wszystko, co będzie chciał...

- Wyrzuty sumienia? Wątpliwości, czy dobrze pani robi? - padło pytanie spod kapelusza osłaniającego część twarzy mężczyzny.

Czyżby czytał w jej myślach?

- Niech pani zawraca. Aż się dziwię, że tak długo pani wytrzymała.

- Nie mam zamiaru wracać przed ślubem - odparła dumnie.

- Niemniej doszła pani do słusznego wniosku, że cały pomysł jest absolutnie kretyński?

- Niech pan odpowie na moje pytanie... - zaczęła i dopiero po dłuższej chwili dokończyła: - Dlaczego nie ożenił się pan z dziewczyną, z którą miał pan się ożenić?

- A, zna pani całą historię! Wobec tego dziwię się, że przyszła pani do mnie ze swoją propozycją. Otóż z perspektywy czasu myślę, że oddałem sobie i Maribeth przysługę, nie żeniąc się z nią. Tylko że wykręciłem się w niegodny sposób. Pani też dojdzie do wniosku, że porzuca drogiego Steve'a niezbyt... elegancko. Może jednak zawrócimy? Jeszcze nie jest za późno...

- Owszem; jest. Mój ojciec już wydzwania na wszystkie strony, pytając, czy mnie gdzieś nie widziano.

- A czy ktoś jeszcze wie o pani wyprawie do baru?

- Nie powiedziałam nikomu. Nie chciałam, by ktoś musiał kłamać.

- Ach, jakież to szlachetne z pani strony! - odparł z ironią. Zignorowała jego słowa.

- Niech pan mi o niej opowie — zażądała.

- O kim?

- O tej Maribeth.

- A co to panią obchodzi?

- Właściwie nic, ale lepiej z kimś rozmawiać, gdy się prowadzi w nocy.

- Maribeth wyszła za Chrisa i oboje żyją szczęśliwiej, niż ona żyłaby ze mną, a Chris bez niej. Koniec, kropka. I tak wie pani więcej o mnie, niż ja o pani.

- Ale czy pan żałuje, że ona nie jest pańską żoną? - nalegała Casey. - Ja nigdy nie będę żałowała, że nie wyszłam za Steve'a.

- Ja wcale nie żałuję, że nie ożeniłem się z Maribeth, ale wyrzucam sobie, że w tak nieładny sposób dowiedziała się o tym, że za mnie nie wyjdzie. Na szczęście ona miała pod ręką Chrisa, który szybko otarł jej łzy. Chris miał być moim drużbą na ślubie. Nawet nie wiedziałem, że od lat był w niej zakochany po uszy. Kiedy do niego zadzwoniłem z Las Vegas, niemal się ucieszył. Od razu mi powiedział, że się oświadczy Maribeth...

- Ale nie był pan długo żonaty z tą z Las Vegas?

- Nie.

- Ze mną też nie potrwa to długo.

- Niezmiernie się cieszę. Nie pasuje mi to do reputacji.

- Czy zawsze jest pan taki sarkastyczny?

- Czy zawsze jest pani taka naiwna, panno Casey?

Casey nagle się obudziła. Uświadomiła sobie, że już nie jedzie. Rozejrzała się dokoła. Stali na wielkim parkingu olbrzymiego przydrożnego centrum handlowego.

- Dlaczego się zatrzymaliśmy? - spytała Bobby'ego, który stał obok wozu i przeciągał się.

- Przecież musi pani mieć w co się przebrać. Doskonałe miejsce do zrobienia sprawunków. Chyba że uważa pani, iż skoro tu nie ma butików paryskich krawców, to nie warto...

- Wiele mi nie potrzeba - powiedziała niepewnie. Nigdy nie przyznałaby mu się, że nie kupowała odzieży w zwykłym supermarkecie.

Poszli przez parking ku wejściu do wielkiego parterowego budynku z blachy, Musieli już chyba być w Nevadzie. Powietrze było suche i gorące. Spojrzała na zegarek. Szybko dojechali. Było jeszcze wcześnie. Odjęła dwie godziny różnicy czasu z Tekasem. Tu musiało być bardzo wcześnie. Zresztą wskazywało to słońce ledwo ponad horyzontem. Pewno sklepy są jeszcze zamknięte. Kiedy jednak podeszła bliżej wejścia, zobaczyła, że magazyn jest otwarty przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Najpierw kupiła sobie konieczne przybory toaletowe, zaczynając od pasty do zębów i szczoteczki. Następnie przeszli do działu z odzieżą. Casey zaskoczył wielki wybór. Przymierzyła kilka sukienek i parę spodni, po czym zdecydowała się na dwie wzorzyste letnie sukienki, lekki kostiumik i jedną parę spodni. Po namyśle dodała kilka bluzek.

- Jej książęca wysokość nie potrzebuje tak obfitej garderoby na te parędziesiąt godzin w Nevadzie - powitał ją Bobby, gdy wyszła z przymierzami obładowana całym naręczem wybranych rzeczy.

- Zawsze te kpinki, zawsze ironia! - odparła. - Nie może pan choć raz być poważny?

- Zapomina pani, że jestem zmęczony, a poza tym mam tego wszystkiego dosyć. Chcę jak najszybciej dojechać, ożenić się z panią, wypaść, a potem natychmiast wracać, skąd przyjechaliśmy.

Proponuję, abyśmy szybko stąd zmykali i ruszyli w dalszą drogę. Do Las Vegas jest jeszcze daleko.

- Myślałam, że to już.

- Jeszcze długo nie będzie już.

Zapłaciła w kasie i poszła do toalety się przebrać. Bobby w tym czasie też poszedł do toalety, gdzie starannie się ogolił.

Gdy wrócili do samochodu, Casey chciała coś powiedzieć, ale zobaczywszy jego przekrwione oczy i ściągniętą twarz nie odezwała się.

Po kilku godzinach jazdy bez wymienienia choćby jednego słowa, Bobby zapytał:

- „Jakież nowe diabelstwo pani planuje? - Ja?! - zdumiała się.

- Zauważyłem na pani ustach dziwny uśmiezek...

- Po prostu pomyślałam sobie, że koniec z zależnością od innych. Mam już dosyć kierowania moim życiem przez innych.

Otrzymam ten spadek i będę niezależna...

- Chyba że wyda pani wszystko w ciągu pierwszych kilku tygodni.

- Może pan się nie martwić.

- Ja na pewno nie będę się tym martwił.

I znowu jechali w milczeniu aż do samego Las Vegas, do którego dotarli wczesnym popołudniem.

Biorąc ślub po raz pierwszy, Bobby skorzystał z usług miejscowego sądu i sędziego. Tym razem postanowił zafundować pannie Carmichael zaślubiny, które ona zapamięta do końca życia.

Był bardzo ciekaw jej reakcji na miejsce, do którego zawiózł ją prosto z drogi. Była to jedna z prywatnych kaplic, jakimi obrosło to miasto na pustyni. Kaplica pełna kwiatów, przeważnie sztucznych, miała ołtarz w kształcie olbrzymiego serca. Po obu stronach ołtarza stały gipsowe kupidynki, a jegomość, który był uprawniony do udzielania ślubów, też miał twarz kupidyna, tyle że już mocno podstarzałego.

Panna młoda, czyli Casey, wyglądała wcale nieźle w kwiecistej sukience. Na szczęście w porę przypomniała sobie, że jest w kowbojskich butach i przy wjeździe do miasta kupiła parę sandałów.

Bobby widział, że pseudopastor jest nieco zaskoczony zachowaniem panny młodej, która ignorowała całkowicie pana młodego i nie odzywała się ani słowem. Nic jednak nie powiedział, dochodząc być może do wniosku, że w ostatecznym rozrachunku milcząca oblubienica jest lepsza od takiej, której nie zamykają się usta.

Po wygłoszeniu prawem przepisanych formułek i otrzymaniu prawem zaleconych odpowiedzi, obwieścił, iż są mężem i żoną, po czym zezwolił na to, by się pocałowali.

Casey obróciła się do Bobby'ego, podnosząc wysoko brwi. Jej zdaniem tę część uroczystości można było opuścić, skoro są już legalnie małżeństwem. Niestety, w tym momencie Bobby spojrzał jej głęboko w oczy i natychmiast tego gorzko pożałował. No dobrze - zrobił, co obiecał, że robi, i na tym powinien być koniec. Ale ceremonia wydała mu się niemiła, a z pewnością jeszcze bardziej niemiła była dla Casey. Casey to prawie dziecko. Czy ona zdaje sobie



sprawę, że nagle przeszła z jednego świata w drugi, zupełnie nieznany. Biedna dziewczyna! I tylko dlatego pochylił się nagle, żeby spełnić pierwszy mężowski obowiązek...

Miało to być delikatne, niemal ojcowskie muśnięcie, które jednak po ułamku sekundy przerodziło się w namiętny pocałunek, a ten wymagał objęcia jej i przygarnięcia do siebie.

Jedynie głośne chrząknięcie urzędnika - a może to był rzeczywiście pastor? - przywróciło Bobby'emu świadomość miejsca i czasu oraz tego, co robi. Cofnął się o krok, opuszczając ręce, ale natychmiast musiał z powrotem je wyciągnąć i podtrzymać Casey, która sprawiała wrażenie osoby tracącej równowagę.

- Życzę wam, moje zakochane ptaszęta, wszelkiego szczęścia i zapraszam z powrotem do naszego miasta i do naszej kaplicy na wszystkie rocznice waszego ślubu - wyrecytował stojący na tle pupurowego serca pseudopastor.

Ponieważ wszystko było już z góry opłacone, a dwie poświadczone kopie tymczasowego aktu ślubu w kieszeni, Bobby ujął Casey pod rękę i wyprowadził w gorące popołudniowe słońce do stojącego przed kaplicą samochodu. Marzył teraz tylko o tym, aby móc się gdzieś przez kilka godzin przespać. Usadził Casey w fotelu pasażera i przeszedł na drugą stronę wozu. Gdy wsiadał, zauważył, że Casey jak urzeczona patrzy na obrączkę na swoim palcu. Ponieważ nie nosiła żadnych pierścionków, nie znał jej rozmiaru i, o dziwo, kupił dobre obrączki w sklepiku przy kaplicy.

Uruchomił silnik i wyjechał z parkingu. Ilekroć przyjeżdżał do Las Vegas, zatrzymywał się w tanim motelu przy wjeździe do miasta, ale to nie było miejsce, do którego powinien zabrać pannę Casey Carmichael, a raczej już panią Metcalf. Zastaw się, a postaw, niech dziewczyna ma przyjemność! Przyjechał na główną ulicę pełną wielkich hoteli-kasyn i zatrzymał się przy jednym z nich. Zerknął na Casey, czekając na jakiś komentarz czy słowa krytyki. Milczała. Zabrał torbę, w której były jej i jego rzeczy, kluczyki oddał chłopakowi parkingowemu i poprowadził Casey do hotelu pełnego łośkotu Jednorękich bandytów" - automatów do gry - obleganych przez tłum klientów.

Zażądał pokoju z dwoma łózkami, a kiedy zawiózł Casey na górę i zobaczył pokój, stwierdził z zadowoleniem, że łóżka są bardzo szerokie.

- Wybierz sobie, które chcesz łóżko - powiedział bez wstępów. - Ja biorę prysznic i idę spać. Padam z nóg. Nie wiem, skąd ty bierzesz siły. Prześpimy się do wieczora, a potem ruszymy w powrotną drogę. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

Casey podeszła do okna.

- Czy wszystko w porządku? - spytał, gdy nie zareagowała na jego propozycję nocnego powrotu.

- W porządku - odparła, nie odwracając głowy.

Gdyby nie miał świetnego słuchu, nie usłyszałby tego cichutkiego szeptu. Wzruszył ramionami i poszedł do łazienki. Była w niej duża wanna i prysznic w kabinie. Wcale nieźle.

Przez kilka minut rozkoszował się odświeżającym strumieniem ciepłej wody. Pogwizdywał, namydlając ciało i myjąc głowę. Kto wie, czy ten drugi ślub nie był w sumie przyjemniejszy od pierwszego? W każdym razie on czuł się znacznie lepiej niż poprzednim razem.

I miał nadzieję, że Casey nie żałuje tego, co zrobiła. A jeśli żałuje, to trudno. Stało się.

Casey Metcalf! Uśmiechnął się do siebie.

Scandalous

---

## ROZDZIAŁ TRZECI

---

Casey słyszała lecącą w łazience wodę i pogwizdywanie Bobby'ego. Widać, że jest zadowolony z siebie. Jej mąż...

Chyba zwariowała! Nie powinna była robić tego, co zrobiła. Ta okropna kaplica z czerwonym sercem i gąszcz plastikowych kwiatów były przerażające. Cała ceremonia ślubna okropna. No i do tego ten jego pocałunek na zakończenie. A raczej na początek życia w nowym stanie. Nie powinna się przejmować zwykłym pocałunkiem, a jednak poruszył ją do głębi i zupełnie wytrącił z równowagi. A przecież nie był to jej pierwszy pocałunek w życiu. Prawie przez rok była zaręczona ze Steve'em, który ją całował, a nawet obmacywał i napierał się, żeby z nim poszła do łóżka. Z tego względu w ostatnich miesiącach unikała przebywania sam na sam ze swoim narzeczonym. Mówiła, że poczeka do ślubu. Potem, gdy wypomniała mu kochankę, usiłował wmówić Casey, że to przez nią. Bo mu odmawia siebie.

Ale żaden z poznanych już pocałunków nie wywołał w niej takiego pożądania, jak ten niespodziewany w kaplicy... Bobby Metcalf pokazał jej po raz pierwszy, jak może wyglądać zbliżenie z mężczyzną.

Nic dziwnego, że ludzie tak pochoinnie zawierają związki... Wtedy, kiedy weszła do baru i spotkała Bobby'ego, była tak pochłonięta swoim problemem, że widziała w nim tylko mężczyznę, który pomoże jej uniknąć pułapki niechcianego małżeństwa. A potem była na niego wściekła i ani jej do głowy nie przyszło, że może on

być... że jest tak przystojny i do wzięcia. I że ma magnetyczną osobowość... Jest przeciwieństwem Steve'a, co już dawało mu przewagę. Steve był wyższy i tęższy. Bobby był szczuplejszy i zwinniejszy. A jego płowe włosy przypominały lwią grzywę, bo nie usiłował ich poskromić grzebieniem. W dzień miał niebieskie oczy. Ciemnoniebieskie... Piękne. No i co z tego? To, że jest twoim mężem! Formalnie...

Jej zadumę przerwało skrzypnięcie otwieranych drzwi od łazienki. I dobrze, że przerwało, bo myśli były niebezpieczne. Obróciła głowę i wstrzymała oddech, widząc Bobby'ego. Miał tylko na biodrach wąską przepaskę z hotelowego ręcznika. Przytrzymał ją jedną ręką, a drugą i drugim ręcznikiem wycierał umyte włosy.

- Łazienka do twojej dyspozycji - obwieścił. - Które łóżko bardziej ci odpowiada?.

- Obojętnie. - Z trudem zdobyła się na wypowiedzenie tego jednego słowa.

Bobby podszedł do łóżka bliżej okna i położył się, nakrywając kocem w poszwie.

On nie ma nic na sobie, pomyślała i spłoszona umknęła do łazienki. Była zszokowana. Spojrzała w lustro i widząc swoją przerażoną twarz, niemal wybuchnęła śmiechem. Ktoś mógłby pomyśleć, że jeszcze nigdy w życiu nie widziała nagiego mężczyzny. No i ten- ktoś miałby, właściwie rację, bo na plaży mężczyźni w kąpielówkach wyglądają zupełnie inaczej. No i jest ich wielu. A tu była sam na sam z mężczyzną, który nago wyszedł spod prysznica.

Jak wspaniale jest zbudowany ! Jaki muskularny! Gdyby tak szybko nie schował się pod kocem, toby mu się jeszcze długo przyglądała. I może nawet podeszła... bo miała wielką ochotę go dotknąć...

Co się z nią dzieje? Czy od chwili tej operetkowej ceremonii w kaplicy pomieszało jej się w głowie?

Weszła pod prysznic i poddała się miłej pieszczocie wody. Poczowała wielkie odprężenie. Gdy wreszcie wyszła spod prysznic, była gotowa do spokojnej i rzeczowej konfrontacji z Bob-bym. No, może nie tak zupełnie gotowa... Pa powrocie do sypialni poczuła ulgę, widząc, że Bobby śpi.

Ona też zapomniała zabrać do łazienki nocną koszulę. Pogrzebała w torbie Bobby'ego, gdzie znajdowały się sprawunki, i wyjęła kupioną koszulę. Wróciła do łazienki i tam ją włożyła, zostawiając ręcznik, którym była przedtem owinięta.

Gdy wreszcie położyła się do łóżka, pomyślała, że z tym śpiącym obok mężczyzną czuje się dziwnie bezpieczna. Znacznie bezpieczniejsza niż kiedykolwiek czuła się ze Steve'em. Wtuliła twarz w poduszkę i po minucie zasnęła.

Obudziła się, czując klapsa na pośladku. Towarzyszył temu znajomy głos:

- Wstawać i to szybko, graty zbierać, czas nam w drogę, cukiereczku!

Wyskoczyła z łóżka jak z procy i zapominając o wszelkiej wdzięczności dla człowieka, który tyle dla niej zrobił, zamierzyła się na niego z okrzykiem:

- Jak ty śmiesz mnie bić?!

Bobby uchylił się przed otwartą dłonią zmierzającą do policzka i śmiejąc się głośno, powiedział:

- Hola, hola, spokojnie, cukiereczku! Nie zamierzałem zrobić ci krzywdy, ale wyczerpałem wszystkie inne sposoby obudzenia mojej drogiej małżonki. Nawet myślałem, żeby ściągnąć tu armatę i wystrzelić ci nad uchem.

- Mogłeś coś powiedzieć, a nie bić...

- Powiedziałem bardzo wiele rzeczy, ale żadna do ciebie nie trafiła. Przepraszam. Cel uświęca środki.

Casey wreszcie się uśmiechnęła.

- Rozbudziłeś mnie dokumentnie. I boleśnie. - Potarła znacząco intymną część ciała.

Pogrzebała w torbie Bobby'ego i wyjęła z niej nowe spodnie i bluzkę, po czym bez słowa zniknęła w łazience, szczelnie zamykając za sobą drzwi.

Dziewczyna ma ikrę, pomyślał Bobby. Tygrysica, przyszło mu do głowy. Rzeczywiście usiłował ją obudzić różnymi sposobami. Głośno gwizdał, jeszcze głośniejszymi opowiadał, że bardzo mu się Casey podoba, włączył telewizor. Już myślał, że może zażyła jakiś niebezpieczny narkotyk i jest teraz nieprzytomna. Z taką dziewczyną nigdy nie wiadomo.

Nie kłamał, mówiąc śpiącej, że mu się podoba. Przyglądał się jej ślicznej twarzyczce i długim rzęsom. Miał ochotę spróbować obudzić ją pocałunkiem, ale uznał, że byłoby to karygodne. I niebezpieczne.

Trzeba jak najprędzej odwieźć ją do Teksasu. Jeśli zaraz wyjadą, to jutro koło południa znajdą się na miejscu. W czasie drogi musi z niej wyciągnąć, jak ona zamierza przeprowadzić drugą fazę operacji pod kryptonimem „mąż z jasnego nieba”.

Podszedł do okna i wyjrzał na rozświetloną neonami panoramę Las Vegas. Jaka szkoda, że nie mają czasu na trochę zabawy. Mogliby pograć w kasynie... Przypomniało mu się zaproszenie tego faceta w kaplicy, żeby przyjechali do Las Vegas w rocznicę ślubu. Ogarnął go pusty śmiech.

Za kilka tygodni Casey załatwi sprawy spadkowe i zabierze się za rozwód... Usłyszał za sobą otwieranie drzwi łazienkowych i bez odwracania głowy powiedział:

- Chodź, zobacz wieczorny widok miasta.
- Przecież się spieszymy...
- Nie proszę cię, żebyś stała przed oknem godzinami. Chodź na chwilę. Zatrzymaj wspomnienie miejsca, gdzie brałaś pierwszy ślub.
- Szanowny pan jak zwykle złośliwy. - Podeszła. - Ojej! - wykrzyknęła. - Wspaniale! I jak przyciąga. Dobrze byłoby tam pójść...
- To samo właśnie myślałem.
- No, ale... czy mamy na to czas?
- Nie mamy. Muszę zdążyć do Wyoming na określony termin. A przedtem muszę cię odwieźć do papy i zabrać swoją ciężarówkę. Zapakowałaś swoje rzeczy?
- Tak.
- No to jazda.



Z jej postawy wiedział, że Casey nie lubi przyjmować rozkazów. Trudno, ale to jej sprawa. On nie ma czasu ani ochoty na cackanie się.

- A czy... jeśli teraz od razu pojedziemy... będziesz miał czas pozostać przez jedną noc na ranczu ojca? - spytała.

- Chyba upadłaś na głowę! Przecież to miało być udawane małżeństwo.

- No i jest udawane, ale ojca trzeba przekonać, że jest inaczej. Musimy mu to powiedzieć, że znamy się od dawna, że wróciłeś, że uciekliśmy do Las Vegas...

- I mam przy okazji oberwać po głowie?

- Ojciec musi poznać powody, dla których tak nagle wyszłam za ciebie.

- Może dla odmiany poczęstujesz go prawdą.

- Jeśli powiem mu prawdę, to on załatwi anulowanie małżeństwa i potem każe mi wyjść za Steve'a...

Po godzinie byli już daleko za Las Vegas.. Jechali prawie pustą szosą, tylko od czasu do czasu wymijały ich samochody amatorów kasynowych rozrywek. Bobby powrócił do poprzedniego tematu:

- Twój papa umiłował sobie tego typka Steve'a, co?

- Ano umiłował.

- A więc, co z naszym rozwodem?

- Poczekamy trochę, a potem...

- Konkretnie, jakie masz plany? spytał.

Casey zadawała sobie to samo pytanie. Gdyby nie powiódł się jej plan poślubienia Bobby'ego, to szykowałyby się teraz do ślubu i

pakowała do podróży poślubnej na Wyspy Bahama i Wyspy Dziewicze, gdzie Steve chciał ją zabrać. Bobby nie zabierze jej na słoneczne plaże, zresztą nigdy by z nim nie pojechała, nawet jeśli by zaproponował. Przestań, dziewczyno, przecież to jest udawane małżeństwo.

Zaraz po powrocie do domu musi znaleźć sobie jakiegoś dobrego adwokata, żeby najpierw zajął się jej spadkiem, a potem rozwodem. Diabli wiedzą, ile to wszystko zajmie czasu. Poza tym czeka uczelnia. W tajemnicy przed ojcem i Steve'em zapisała się już na Uniwersytet Teksaski. Może najlepiej byłoby od razu przenieść się do akademika? Wszystko jednak zależy od tego, jak ojciec zareaguje na wiadomość o tym, co się stało. Westchnęła. Tyle niewiadomych. Nie zamierzała w to wszystko wtajemniczać Bobby'ego, bo to nie jego sprawa. Ponowiła tylko swoją poprzednią prośbę:

- Bardzo cię proszę, żebyś został ze mną na noc na ranczu. Tylko na jedną noc. Muszę mu udowodnić.

- Udowodnisz mu dostatecznie, kiedy pokażesz akt ślubu.

- Daj mi go.

- Ten świstek nic nie jest wart. To właściwie tylko pokwitowanie z kaplicy. Właściwy dokument przyślą pod moim adresem z powiatowego urzędu stanu cywilnego, kiedy kaplica zarejestruje tam nasz świąty związek... Po co właściwie jestem ci potrzebny na tę noc na ranczu? Chcesz go przekonać o naszym małżeństwie, zapraszając, by nam towarzyszył w sypialni?

- Jesteś zupełnie niemożliwy! - Poczerwieniała jak burak. -  
Zawsze ten sarkazm i złośliwości. Zapomnij o ranczu. Przepraszam,  
że o tym wspomniałam.

Przez następne dwie godziny jechali w absolutnym milczeniu.  
Nagle Bobby wybuchnął śmiechem.

- Co takiego śmiesznego? - spytała posepnie.

- My. Ty i ja. Z żadną kobietą nigdy tyle się nie kłóciłem. Można  
by pomyśleć, że jesteśmy małżeństwem co najmniej od dziesięciu lat.

- Dla pańskiej informacji powiem, że ja nigdy z nikim jeszcze  
nie musiałam się kłócić. Pan jest pierwszy.

- Pan? Nie mężuś? Trudno mi uwierzyć, że w swoim środowisku  
żyłaś ze wszystkimi w absolutnej harmonii, ale skoro tak mówisz...  
Jeśli to prawda, to popełniłaś wielki błąd. Bo gdybyś traktowała tego  
Steve'a tak, jak traktujesz mnie, to błagałby cię, byś za niego nie  
wychodziła. Miałabyś kłopot z głowy.

- Ach, jakie to śmieszne! Ha, ha! Mnie nie denerwuje, co  
mówisz, tylko jak mówisz. Dlatego się złościę.

- Zmieńmy lepiej temat. Co konkretnie masz zamiar zrobić po  
powrocie do Cielo?

- Zostawię cię przy ciężarówce. Będziesz mógł sobie jechać,  
dokąd, chcesz.

- Myślałem, że mam spotkać twojego ojca?

- Zmieniłam zamiar.

- A co ze Steve'em?

- Co ma z nim być?

- Czy uwierzy, że wyszłaś za męża, jeśli nie pojawisz się z panem młodym?

- Nie sądzę, panie Metcalf, by posiadał pan odpowiednie talenty aktorskie, żeby móc udawać zakochanego męża. Ale niech się pan nie martwi. Jakoś dam sobie radę. Coś wymyślę.

Właśnie to ostatnie najbardziej Bobby'ego niepokoiło. Wy bujała wyobraźnia Casey stanowiła wielkie niebezpieczeństwo. A dowodem był ślub z nieznanym.

Nie mógł pozwolić, by wpakowała się w coś jeszcze gorszego. Postanowił poznać jej ojca i byłego narzeczonego, aby zrozumieć, dlaczego tak odważna dziewczyna jak Casey, tak bardzo się ich boi.

Zanim dojadą do Cielo, musi przekonać Casey, że sama sobie nie poradzi i że jego pomoc będzie jej jednak niezbędna. I pomyślał, że najbliższe dni mogą okazać się dla niego nie mniej ciekawe, niż uczestniczenie w rodeo i łapanie na łąso krów oraz dosiadanie byków.

---

## ROZDZIAŁ CZWARTY

---

Następnego dnia, gdy minęli granicę Teksasu, zapytał:

- Którędy jest najbliższej do rancza twojego ojca?
- Nie jedziemy na ranczo, jedziemy do twojej ciężarówki.

Napisałam na kartce mój adres, żebyś mógł mi przysłać właściwy dokument z urzędu stanu cywilnego. Ty mi zapisz swój, żeby mój adwokat wiedział, dokąd wysłać kopię wniosku o rozwód.

- Coś ci zaproponuję, cukiereczku. Obiecuję, że nie będę więcej kpił, ironizował czy jak tam, jeśli ty mi obiecasz, że nie będziesz z góry, bez przemyślenia, odrzucała każdej mojej propozycji. Dobrze?

- Spróbujemy - odparła bez przekonania.

- Doskonale. A więc, mówiąc zupełnie poważnie, doszedłem do wniosku, że miałaś rację, proponując, abym udał się z tobą do twojego domu, spędził tam noc i odegrał scenkę zakochanego męża, a potem się pokłonił i odjechał, oświadczony, że jestem pilnie oczekiwany w Wyoming, ale wrócę, jak tylko będę mógł. Potem spotkamy się w Cielo i opracujemy nasze kolejne kroki. Zgadzasz się? W pewnym sensie jesteśmy teraz partnerami, no nie? I kto wie, czy nie zostaniemy przyjaciółmi, nim cała historia się zakończy. Świat widział dziwniejsze rzeczy, prawda?

- Dlaczego nagle zrobiłeś się taki miły? - spytała podejrzliwie.

- Ponieważ miałem teraz kilka cichych milczących godzin na przemyślenie wszystkiego. I właśnie doszedłem do wniosku, że miałaś

rację. Ja jej nie miałem. I dlatego mówię, co mówię. Czy to takie dziwne?

- Dla mnie tak. Bo nie jestem przyzwyczajona do tego, by ktoś poważnie słuchał tego, co mówię.

- Zaczynij się do tego przyzwyczajać. Wpakowaliśmy się w to oboje i zamierzam bardzo uważnie wysłuchiwać twoich propozycji.

- Dziękuję - odparła cicho.

Oderwał dłoń od kierownicy i poklepał Casey po kolanie.

- I już niczym się nie martw. Wszystko dobrze się skończy. Na pewno ci się uda. Przez cały czas będę cię wspierał.

Po godzinie zajechali przed rodzinne ranczo Casey i zobaczyli jej ojca oraz narzeczonego - byłego narzeczonego! - kontemplujących stojącego na podjeździe nowiutkiego, po dach załadowanego dzipa serii Bronco.

Ojciec znalazł się przy ich samochodzie, zanim całkowicie stanęli.

- Gdzieś ty się podziewała, dziewczyno?! - wykrzyknął. - Zamartwialiśmy się o ciebie. Gdzie, u diabła, byłaś?!

Bobby nie wierzył własnym oczom: Casey nagle jakby się skurczyła, broda zaczęła jej drżeć, ręce się trzęsły. Wyszła z wozu i gdyby nie oparła się o karoserię, chybaby upadła.

Co tu się dzieje w tej rodzinie? Wszedł też z samochodu, obszedł go i dołączył do Casey. Wyciągnął rękę w kierunku ojca Casey i powiedział:

- Pan Graham Carmichael, jeśli się nie mylę? Miło mi pana poznać. Jestem Bobby Metcalf.

Graham Carmichael całkowicie zignorował Bobby'ego i jego słowa powitania.

- Czy mi, psiakrew, wreszcie odpowiesz? - napierał. - Przez dwa dni i dwie noce umierałem z niepokoju. Już myślałem, że cię porwano albo nawet zabito czy coś takiego. Nawet Steve nie wiedział, gdzie jesteś. Zrobiłaś z nas idiotów. Obdzwanialiśmy wszystkich znajomych. Co oni sobie o nas pomyśleli! Brak ci oleju w głowie, czy co? Odetchnę z ulgą, kiedy wyjdiesz za mąż i wyprowadzisz się stąd. Mam już po uszy ciebie i twojego dziecinnego zachowania...

Niemal instynktownie Bobby objął Casey opiekuńczym ramieniem. Dziewczyna cała się trzęsła.

Wolnym krokiem podszedł Steve, bacznie obserwując całą scenę. Widząc ramię Bobby'ego wokół talii Casey, zareagował ostro:

- Nie wiem, kim pan, do cholery, jest, ale niech pan natychmiast zabierze tę łapę!

Bobby zastanawiał się, czy Casey zdaje sobie sprawę, że po tym odezwaniu Steve'a po prostu przyłgnęła do „męża”. Tak, biedaczka nie przesadziła ani na jotę, mówiąc o oddziaływaniu na nią obu tych mężczyzn. Zdecydowanie nie podobali mu się. Miał do siebie pretensję, że poprzednio chciał pozostawić Casey bez opieki.

I nie potrafił zrozumieć, jak to się dzieje, że rezolutna i zdawałoby się mająca wszystko dobrze i logicznie poukładane w

głowie dziewczyna zamienia się w obecności tych dwóch osobników w jakąś zupełnie bezwolną istotę. Ani śladu własnej tożsamości.

Bobby najpierw wbił wzrok w ojca , potem w narzeczonego. Ten ostatni zwracał uwagę wystudiowaną fryzurą z paryskiego katalogu modnych uczesań. Był opalony, ale opalenizną z lampy. Miał pięknie skrojone ubranie w teksaskim stylu i wyglansowane obuwie. Zwykły lalusz. Bobby zdawał sobie sprawę, jak z nim kontrastuje w wygniecionych dżinasach i koszuli oraz zakurzonych kowbojskich butach.

- Nie mam chwilowo ochoty zmieniać pozycji mojej ręki, ale dziękuję za sugestię - odpowiedział wreszcie Steve'owi.

Steve zeszywniał, Graham Carmichael zmarszczył brwi, widząc, że jego pokrzykiwania nie wywołują pożądanego efektu ani reakcji ze strony Casey. Po raz pierwszy zwrócił też uwagę na Bobby'ego.

- Co pan tu, do cholery, robi i kim pan jest? - zapytał groźnie.

- Jestem kimś, kto być może będzie musiał obu szanownych panów nauczyć nieco szacunku dla kobiet. Ty głupcze, czy tak ojciec powinien odzywać się do dorosłej córki?

Graham Carmichael zastygł zbulwersowany tak bezczelnym odezwaniem się obcego mężczyzny wyglądającego wedle jego gustu jak obszarpaniec.

Steve postąpił dwa kroki, jakby zamierzał uczestniczyć w ewentualnym fizycznym usunięciu Bobby'ego z rancza.



Korzystając z chwilowego zaskoczenia obu dżentelmenów, Bobby pochylił się do ucha Casey i wyszeptał:

- Spakuj się szybko. Weź wszystko, co niezbędne. Nie mam zamiaru tu cię zostawić.

Casey skinęła głową na znak zgody, obeszła ostrożnie ojca i Steve'a, a następnie puściła się pędem do domu, jakby ją goniły wściekłe psy.

Bobby oparł się o samochód, skrzyżował ręce na piersiach i założył nogę na nogę.

- Daję panom wybór - powiedział. - Rozmowa będzie krótka i rzeczowa albo dłuższa i nieprzyjemna, a kto wie, czy dla panów nie boleśniejsza. - Akcentował ironicznie słowo „panów”, nie pozostawiając wątpliwości, co o nich sądzi.

Graham Carmichael groźnie warczał, patrząc na oddalającą się córkę, a potem, gdy zniknęła w domu, spytał Bobby'ego:

- Co pan ma do mojej córki? Co pan jej zrobił, że ona...?

- Ożeniłem się z nią - wyjaśnił Bobby z szerokim uśmiechem na twarzy.

Rozgryzł obu tych mężczyzn. Byli bardzo do siebie podobni. Działali metodą zastraszania i upokarzania słabszych od siebie.

Oni natomiast jeszcze nie rozgryzli jego i z ich twarzy wyzierała niepewność, jak sobie poradzić z intruzem.

Steve pierwszy odzyskał głos:

- Co ty znowu wygadujesz, głupi włóczęgo? Casey jest zaręczona ze mną. Nasz ślub odbędzie się w najbliższą sobotę.

- No, to czeka cię rozczarowanie, kochasiu - odparł Bobby. - Musisz postać w kolejce, aż Casey się rozwiedzie ze mną. Ale nie przewiduję żeby nastąpiło to szybko. Gdy usłyszałem o waszych zaręczynach, natychmiast wyperswadowałem Casey taki krok. Pojechaliśmy do Las Vegas i wzięliśmy ślub...

Steve otworzył szeroko usta, a Graham Carmichael wyglądał jak człowiek porażony piorunem.

- Dlaczego ja o tym nic przedtem nie wiedziałem? - wyjąkał. - Że Casey pana zna od dawna.

- Mam wrażenie, że znam ją od urodzenia - odparł Bobby bardzo uprzejmie. - Przez wiele lat pracowałem w zespole rodeo z Bradem Bennettem. Gdy byliśmy w okolicy, Brad zawsze odwiedzał rodzinę, która tu mieszka, i zabierał mnie. Pańska córka przyjaźni się z siostrą Brada, z DeeDee. Casey często przychodziła... Obiecałem jej, że się nie ożenię i będę na nią czekał, aż dorośnie. No i teraz dorosła. Brad mi niedawno powiedział o tych głupich zaręczynach i diabli mnie wzięli. Przyjechałem i przypomniałem jej daną sobie wzajemnie obietnicę.

- Obiecał pan małżeństwo nieletniej? - spytał zgorzony Steve.

- A szanowny pan to niby nie? - odparł Bobby. - O ile mi wiadomo, zaręczył się pan z nią prawie przed rokiem, kiedy miała siedemnaście lat. Ja miałem zamiar długo jeszcze czekać ze ślubem, ponieważ chciałem, żeby ukończyła studia uniwersyteckie. Casey mi powiedziała, że zaczął ją pan nachodzić, kiedy jeszcze uczęszczała do

liceum. Ma pan chyba dwa razy tyle lat, co ona. Mógłby pan być jej ojcem.

Steve, czerwony z wściekłości, rzucił się na Bobby'ego. Trafił jednak na twardego kowboja, który tylko wysunął nieznacznie nogę i napastnik runął głową do przodu. Po drodze głowa napotkała pięść Bobby'ego. Już po chwili Steve, pojękując, leżał jak długi na ziemi.

- Czy jest jeszcze jakiś amator zabaw na otwartym powietrzu? - spytał Bobby stanowczym tonem, patrząc znacząco na Grahama Carmichaela.

Nie Wiadomo, co zapytany zrobiłby, gdyby uwagi jego nie odwróciło trzaśnięcie bocznych drzwi. Na podwórku pojawiła się Casey, dźwigając trzy wypchane bardzo eleganckie torby podróżne, Bobby podbiegł do niej i odebrał dwie torby. Poszedł z nimi do samochodu, obchodząc ostrożnie nadal spoczywającego na ziemi, ale już podpierającego się łokciem Steve'a. Wrzucił torby na tylne siedzenie i wrócił do Casey po trzecią.

- Zaraz jedziemy, kochanie! - obwieścił głośno, po czym zwrócił się do Grahama Carmichaela: - Przykro mi tak szybko kończyć to niesłychanie miłe spotkanie, ale musimy się spieszyć. Czekają na mnie w Wyoming. W najbliższą sobotę występuję w rodeo. - Wsiadł do samochodu i wymachując dłonią, dodał: - Pa! Będziemy w kontakcie.

Zanim Bobby zdołał zatrzasnąć za sobą drzwiczki wozu, Graham Carmichael zaczął wrzeszczeć:

- Jeśli myślisz, smarkata, że udadzą ci się takie sztuczki ze mną, to się grubo mylisz! Jeśli opuścisz ranczo z tym człowiekiem, to przestaniesz być moją córką! Zrozumiałaś? Wyłaż natychmiast z samochodu! W najbliższą sobotę bierzesz ślub ze Steve'em. Nie nabiorę się na twoje kawały.

Bobby zerknął na Casey i z zadowoleniem stwierdził, że nieco się uspokoiła. Przynajmniej nie dygotała ze strachu. Powiedziała też spokojnie:

- Odjeżdżam z moim mężem, tato. Wiele razy próbowałam dp ciebie dotrzeć, porozmawiać z tobą. Bez skutku! Próbowałam też powiedzieć. Steve'owi, że nie chcę za niego wyjść, ale on także mnie zlekceważył. Obaj mnie zlekceważyliście.

Steve, który podniósł się już z ziemi, postąpił ostrożnie krok w stronę samochodu.

- Nie mówiłaś mi nigdy, że jest ktoś inny. Nie wspomniałaś ani razu o tym... tym...!

- Nie wspomniałam. - Uśmiechnęła się.

- Jedziemy? - spytał Bobby.

- Najwyższy czas. Dobrze, że w porę oprzytomniałam. -

Spojrzała na ojca. - Kochałam cię i Kocham, tato. Ale tym razem nie mogłam zrobić tego, czego żądałeś. Żądałeś za wiele. Napiszę i podam ci mój adres.

- Możesz się nie trudzić! - warknął Graham Carmichael, obrócił się na pięcie i poszedł w kierunku stajni.

Steve przenosił wzrok z Bobby'ego na Casey, następnie na Carmichaela i dopiero teraz zaczęło docierać do jego świadomości, że już nigdy nie zostanie zięciem tego ostatniego. W jego oczach pojawiły się oznaki paniki. Usiłował jeszcze ratować sytuację:

- Posłuchaj, Casey, może uda się nam wszystko spokojnie omówić. Przyznaję, że kilkakrotnie mogłem postąpić nie tak, jak powinienem, ale..

- Żegnam, Steve! - ucięła krótko. - Życzę ci miłego życia. Bobby uznał, że jest to bardzo dobry tekst na wyjście za kulisy. Włączył silnik, potem wsteczny bieg, niemal w miejscu zawrócił, wzbijając tuman pyłu, który przysłonił Steve'a, i odjechał w kierunku szosy.

Już zwyczajowo milczeli, tym razem aż do Cielo, do miejsca, gdzie Bobby przed paroma dniami zostawił ciężarówkę. Nadal stała nietknięta.

- Musimy gdzieś na tydzień zostawić twój wóz w bezpiecznym miejscu - powiedział Bobby. - Masz jakąś propozycję?

- Co? Jak? Nie rozumiałam? - spytała, jakby wyrwana z głębokiego snu. - Aaa, samochód? Mój samochód? Słuchaj, już możesz się o mnie nie martwić. Zrobiłeś bardzo wiele. Ja sobie...

- Ty sobie powiedz jedno: nie należy stale kłócić się z mężem - przerwał jej łagodnym głosem, okraszonym ciepłym uśmiechem. - Wiem, że trochę nam nie wyszło to, co zaplanowaliśmy, ale w sumie nie było wcale źle. Tego typka Steve'a masz już z głowy. I miałaś rację, że go nie chciałaś. Podejrzany typek. I wiesz, co teraz robimy? Pojedziesz ze mną na tydzień do Wyoming. Kiedy tam skończę, będę

miał trochę wolnego czasu. Zawiozę cię wtedy na twój ukochany uniwersytet stanowy. Znajdziemy dla ciebie jakieś mieszkanie. W domach akademickich albo prywatnie. Tak, lepiej mieszkanie prywatne. I na moje nazwisko, bo ktoś z domu może cię szukać. Zostawię ci mój adres i będę w stałej łączności z tobą, bo możesz potrzebować pomocy. Ci dwaj, twój papa i ten Steve, mogą nie dać za wygraną i będą próbowali cię molestować... W razie czego będę czatował za rogiem... No co, dobry plan?

- Dobry. Tylko jest jeszcze sprawa świadectwa ślubu. Podałam adres ojca. Oni tam wyślą kopię z urzędu stanu cywilnego...

- Zaraz do nich zadzwonię i podam numer mojej skrytki pocztowej. Jeszcze pewnie nie otrzymali papierów z kaplicy... A więc zgoda na mój plan? I czy moglibyśmy zostawić samochód u twojej przyjaciółki DeeDee?

Nie podobał mu się wygląd Casey. Była blada jak trup, wzrok miała szklisty. Najwyraźniej była w szoku.

Nie odpowiedziała na jego pytania, a kiedy wreszcie się odezwała, dotyczyło to zupełnie innej sprawy.

- Mojemu ojcu właściwie nigdy na mnie nie zależało. Nie kochał mnie. Dlaczego ja nigdy nie uświadamiałam sobie tego? Zawsze tak starałam się robić wszystko, czego chciał, ale to najwidoczniej było za mało. A teraz... - Głos jej się załamał. - Kiedy zrobiłam coś, co w jego pojęciu jest nie do wybaczenia, nic nie czuję... Żadnego żalu. Czy to nie dziwne?

Być może to wyznanie Casey spowodowało, że resztki rezerwy, jaką Bobby starał się zachować, zniknęły. Przytulił ją i zaczął szeptać jej do ucha:

- Wszystko będzie dobrze, cukiereczku, kochanie... Zapewniam cię, że wszystko będzie dobrze. Nie jesteś sama. Masz mnie. Może to nie jest znowu tak wiele warte, ale zawsze... od wielu lat jestem kowbojem, tułaczem po rozmaitych rodeo. To, co posiadam, mieści się w paru torbach, bo nie chciałem mieć kłopotu, przenosząc się z miejsca na miejsce. Ale, teraz zostanę z tobą dopóty, dopóki będę ci potrzebny... Nie martw się, zajmę się tobą. Nie będziesz musiała pokonywać nowej drogi życia sama...

Myślał, że to, co powiedział, uspokoi ją. Ona jednak nagle jakby zeszywniała i odsunęła się, tak jakby sens tych słów do niej nie dotarł.

- DeeDee na pewno zgodzi się przechować mój samochód. Wstawi go do stodoły, gdzie będzie czekał do naszego powrotu. Pojadę z tobą do Wyoming. Właściwie nigdy tam jeszcze nie byłam.

Brzmiało to wszystko beznamiętnie, jakby w ustach obcej osoby. Dowodziło jednak dużej dozy samokontroli.

No i dobrze. Czego oczekiwał? Romantycznego wyznania miłości? Rozplakania się na jego ramieniu?

Podziwiał nawet jej samokontrolę, zdając sobie sprawę z braku własnej. Tak, dał się ponieść fali uczucia do tej dziewczyny. Bardzo niebezpieczne! Miał wrażenie, że jest zagubiony w bezmiarze dziwnych jak na niego emocji. Siłąc się na wesołość, odparł:



- To doskonale! Pojadę za tobą do jej domu, a potem ty pojedziesz ze mną po konia i osprzęt i wyruszymy w drogę. Myślę, że spokojniej będę spał, jeśli odjedziemy stąd jak najdalej na północ. Nigdy nic nie wiadomo.

DeeDee nie wydawała się wcale zaskoczona prośbą Casey o przechowanie samochodu, a gdy przyjaciółka wstydliwie wyznała, że Bobby i ona właśnie wracają z Las Vegas, gdzie wzięli ślub, okazała wielką radość. Chwyciła Casey za rękę i zaczęła z nią tańczyć po podwórku.

- Ale Brad będzie zaskoczony, kiedy się o tym dowie! Boże drogi! Przysięgły wróg kobiet pojechał do Las Vegas, żeby się ożenić! Bobby Metcalf żonaty!

Bobby tylko podniósł oczy ku niebu i milczał, bo cóż mógł powiedzieć?

- Nikomu o tym nie mów! Nikomu! Nawet Bradowi! - Casey zgasiła nieco tym żądaniem radość przyjaciółki. - Z pewnego powodu musi to pozostać przez jakiś czas absolutną tajemnicą. Tylko tobie się zwierzyłam. Żaden chłop nie może o tym wiedzieć. Mężczyźni mają za długie jęzory, zwłaszcza w barze przy piwie. Ja rozpoczynam studia na uniwersytecie, a Bobby będzie po uszy zajęty w zespole rodeo.

- No, ale Steve? Jemu też nie powiesz? - spytała DeeDee.

- Steve'owi i ojcu już powiedzieliśmy.

- Szkoda, że nie widziałam ich twarzy, kiedy to wyjawiaś. Jak zareagowali?



Casey spojrzała na Bobby'ego, który tylko wzruszył ramionami i głośno się roześmiał. Odpowiedziała więc sama:

- Nie byli nazbyt zadowoleni...

Wreszcie Casey uściskała DeeDee i obiecała, że pojawi się za tydzień lub dwa i zabierze samochód. Pożegnali się i poszli do ciężarówki. Casey po raz pierwszy do niej wsiadła, zaczęła więc rozglądać się z wielkim zainteresowaniem. Bobby natomiast był nieco zawstydzony. Ciężarówka była jego jedynym domem. W niej mieszkał od lat. Posiadał tylko skrytkę pocztową w mieście, w którym się urodził. Ponieważ nie miał żadnej rodziny, nigdy nie przyszło mu do głowy, by gdzieś wynająć jakieś mieszkanie.

- Przepraszam za ten straszny bałagan - powiedział. - Jest nie posprzątane. Zajmę się tym, gdy dotrzemy do bazy rodeo.

Na tyle ciężarówki znajdowało się pomieszczenie sypialne.. Tam też złożył swoją torbę i jedną torbę Gasey, na szczęście pozostałe dwie zostawiła w samochodzie.

W kabinie sypialnej było miejsce właściwie tylko dla jednej osoby. Dlatego też postanowił, że po przekroczeniu granicy stanowej nie zatrzyma się na parkingu noclegowym, ale w jakimś skromnym motelu.

Przez długie godziny jechali w zupełnym milczeniu, kontynuując w ten sposób styl bycia przyjęty podczas drogi z Nevady. Od czasu do czasu Bobby zerkał ukradkiem na Casey i wreszcie stwierdził, że najwyższy czas się zatrzymać, bo dziewczyna zasypia na siedząco.

W motelu wysłał ją pierwszą do łazienki, a gdy potem on sam wyszedł spod prysznica, Casey już mocno spała.

Zaryglował drzwi, sprawdził, czy łańcuch jest dobrze założony, zgasił światło i położył się, zapadając w błogi sen już po kilku minutach.

Gdy się obudził o szarym świcie i na sąsiednim łóżku zobaczył skuloną pod prześcieradłem sylwetkę, poderwał się zaskoczony. Wstał jeszcze mało przytomny, pochylił się nad łóżkiem i otworzył ze zdumienia usta. To była... Casey!

Zdał sobie nagle sprawę, że jego życie w ciągu kilku dni uległo radykalnej zmianie. Już nigdy nic nie będzie takie samo. On też będzie inny. Ktoś wdarł się w jego życie. I co najdziwniejsze, Bobby miał nadzieję, że już na zawsze w nim pozostanie. Chociaż, uczciwie mówiąc, Casey zasługiwała na kogoś znacznie lepszego niż on.

Chwilowo jednak nikogo lepszego koło siebie nie miała, więc musi jej wystarczyć jego skromna osoba. A w powstałej sytuacji ktoś jest jej koniecznie potrzebny. Trzeba więc starać się, by jej nie zawieść...

---

## ROZDZIAŁ PIĄTY

---

*Po czterech latach...*

Casey szybko przemykała między uniwersyteckimi budynkami, będąc spóźniona na ostatni wykład tego dnia. Tak zaabsorbowały ją zajęcia laboratoryjne, że straciła poczucie czasu.

Gdy pojawiła się na sali wykładowej, jeden z asystentów podszedł do niej i wręczył złożoną karteczkę.

- Czatowałem na ciebie - powiedział. - Proszono mnie o oddanie tej notatki. Podobno pilna.

Przeczytała krótką wiadomość i zmarszczyła brwi.

- Czy to na pewno dla mnie?

- Jeśli nadal nazywasz się Casey Carmichael... - Asystent zaśmiał się z własnego dowcipu.

- Ja nie znam nikogo w Fort Worth. Dlaczego tamtejszy szpital chce, żebym zadzwoniła?

- Może ktoś z twojej rodziny przejeżdżał przez miasto i miał wypadek? - podsunął niezbyt miłe wyjaśnienie rozmówca. - Aha, masz prosić panią Sanchez...

Casey poszła do telefonu, zastanawiając się, o co też może chodzić. Nie o ojca. Ojciec nigdy nie zgodziłby się na szpital w Fort Worth. A poza tym nie próbowałby się z nią skontaktować. Od czterech lat nie istniała dla niego, choć ona często o nim myślała. Ojciec nigdy nikomu nie wybaczał. Nigdy nie darował osobie, która

mu się przeciwstawiła. Nie wybaczył jej matce, nie wybaczył też córce.

Włożyła do automatu kartę magnetyczną i wystukała podany jej numer szpitala. Wkrótce rozmawiała już z panią Sanchez, która od razu w pierwszym zdaniu powiedziała:

- Dziś rano. przyjęliśmy do szpitala pani męża, pani Carmichael. Miał wypadek samochodowy. Sytuacja jest teraz ustabilizowana, ale dobrze by było, gdyby pani przyjechała.

- Bardzo mi przykro, ale to chyba jakaś pomyłka. To nie może chodzić o mnie... - odparła.

- Pan Robert Metcalf wymienił panią jako najbliższą rodzinę... Zrozumiałam, że chodzi o żonę...

- Robert Metcalf... O mój Boże! Poważnie ranny? Co się stało? Jak on się czuje?

- Chwilowo stan jest stabilny. Ale bardzo prosimy o jak najszybszy przyjazd.

- Przyjadę. Dziękuję. Do widzenia. - Casey drżącą dłonią odłożyła słuchawkę.

Na korytarzu spotkała tego samego asystenta.

- No i co? No i co? - spytał.

- Bliska mi osoba została ranna w wypadku samochodowym - wyjaśniła. - Powinnam pojechać do Fort Worth...

- Jeśli chcesz, zawiadomię profesora, że musiałaś wyjechać w związku z poważną chorobą w rodzinie.

- Dobrze, zrób to! Dziękuję! - Odeszła zamyślona. Oczywiście, zaraz pojedzie do Fort Worth. Czy Bobby zgłosił

ją jako osobę bliską, czy wyraźnie jako żonę? Przecież chyba wytłumaczył...? Nagle zrozumiała. Bobby musi być bardzo poważnie ranny. Szpitalny eufemizm o „stabilnym stanie” może właśnie to oznaczać.

Wybiegła z budynku i szybkim krokiem ruszyła w stronę niedaleko zaparkowanego samochodu.

Zastanawiała ją, dlaczego Bobby wymienił ją jako najbliższą rodzinę. No tak, przed czterema laty byli przez kilka miesięcy małżeństwem. Ale małżeństwo nie zostało skonsumowane. To było już cztery lata temu! Jakby w innym świecie, w innym życiu...

Podjechała pod dom, w którym mieszkała. To Bobby przed czterema laty trafił na to miejsce i tu wynajął jej kawalerkę.

W pośpiechu spakowała podręczną torbę z niezbędnymi rzeczami. Obliczyła, że droga, pobyt w szpitalu i powrót zajmą jakieś trzy dni.

Mniej więcej w godzinę po rozmowie ze szpitalem była już na autostradzie biegnącej na północ. W dalszym ciągu miała ten sam sportowy samochód, który przed czterema laty ojciec kupił jej z okazji Zdania matury. Nie było powodu zmieniać wozu, bo od czasu najdłuższej wyprawy wtedy do Las Vegas, bardzo mało jeździła. Ot, z mieszkania na uniwersytet i z powrotem. Na wspomnienie Las Vegas uśmiechnęła się. Było to szalone przedsięwzięcie, a konsekwencje wyprawy całkowicie odmieniły nie tylko jej życie, ale i ją samą.

Kiedy po przedstawieniu w sądzie aktu ślubu, otrzymała prawo do dysponowania spadkiem, zawiadomiła Bobby'ego, że pieniądze już są i spytała, dokąd ma wysłać należną mu połowę. Zadzwoił wtedy do niej i zbeształ, przypominając, że od samego początku mówił, iż żadnych pieniędzy nie chce. Zwłaszcza teraz. Pytała, co oznacza owo „zwłaszcza teraz”, ale nie chciał jej wyjaśnić.

Ale. Casey należała do osób upartych, które uważają, że raz dane słowo jest święte. Poleciała swemu adwokatowi otworzyć rachunek bankowy na nazwisko Bobby'ego Metcalfa, przelać tam pieniądze i wysłać Bobby'emu dowód wpłaty. On jest uparty, pomyślała wtedy, ale ja też. Bobby zadzwonił i powiedział, że pieniądze będą leżeć na tym koncie chyba do końca świata, bo on ich nigdy nie tknie. Na pewno zmienił zdanie... Uświadomiła sobie, że czeka z niecierpliwością na spotkanie z Bob-bym. Co więcej, myśl o tym spotkaniu wywoływała jakby przyspieszone bicie serca. Chyba jej się nie zdaje...? Modliła się w duchu, by nie był zbyt poważnie ranny. A w ogóle nie mogła go sobie wyobrazić w szpitalu. Człowiek tak niespokojny, żywotny i energiczny, nagle unieruchomiony w szpitalnym łóżku! Już to samo musi być dla niego okropne.

Przed czterema laty towarzyszył jej przez kilka miesięcy. Przez wiele dni podróżowała w jego towarzystwie po całym stanie, po miastach i miasteczkach, gdzie odbywały się spektakle rodeo. Oczywiście DeeDee nie utrzymała języka za zębami i wygadała się bratu, a on wszystkim rozpowiedział, że Bobby po raz drugi w życiu wyjechał do Las Vegas, by poślubić ledwo poznaną kobietę. Bobby

przyjmował żarciki i docinki kolegów z uśmiechem, opiekował się jak ojciec Casey, publicznie był dla niej niesłuchanie czuły, a sam na sam jak wymagający starszy brat wobec młodziutkiej siostry. Casey była bardzo zdowolona, że ma przy sobie Bobby'ego, na którym może się wesprzeć, gdy przychodziły chwile słabości.

Właściwie gdyby nie Bobby, cała historia z ojcem i Steve'em nie miałyby prawdopodobnie miejsca i jej życie potoczyłoby się inaczej. Tylko Bobby'emu zawdzięczała swoje wolne życie i to, że jest już blisko uzyskania dyplomu...

Z drugiej strony przez te wszystkie lata zastanawiała się, jak to mogło być, iż ona owego lata odczuwała tak głęboką wdzięczność dla człowieka tak irytującego, tak chwilami nieznośnego jak Bobby. Jakże często wywoływał w niej najgorsze instynkty. Miała wtedy wielką ochotę walić go pięściami i obrzucać najgorszymi wyzwiskami. Tak, Bobby i ona posiadają osobowości nie do pogodzenia, i trudne do współżycia. No, to dlaczego bije jej tak serce, kiedy o nim teraz myśli? A może Bobby się zmienił? Może wkrótce będzie mogła się przekonać...

Mimo wszystko Bobby był wspaniały jako brat, doświadczony starszy brat. Szkoda, że nigdy nie miała brata. Może wówczas nie byłaby taka uległa wobec ojca i nie wplątała się w aferę ze Steve'em.

Przed czterema laty Steve pojawił się po paru tygodniach od dnia sławetnego wydarzenia po jej powrocie z Las Vegas. Pojawił się na... rodeo. Chciał z nią rozmawiać. Namawiał, prosił, groził... W trakcie rozmowy pojawił się Bobby. Steve podwinął ogon i umknął.

Nędzny człowieczek. Gdyby przed czterema laty miała tak dobrze poukładane w głowie i była taka, jak dziś, to nie musiałaby wychodzić za Bobby'ego, żeby uwolnić się ze zobowiązania wobec Steve'a. No, ale jeśli dziś jest taka, to w dużym stopniu zawdzięcza to Bobby'emu.

Westchnęła. Niech mu nic nie będzie, modliła się, podjeżdżając pod szpital.

Z recepcji odesłano ją do pokoju pielęgniarek oddziału intensywnej terapii.

- Chodzi mi o Bobby'ego Metcalfa... - zwróciła się do biało odzianej siostry oddziałowej. - Czy jest poważnie ranny? Mogę się z nim widzieć?

- A kim pani jest?

- Jestem Casey Carmichael. Zadzwoniono do mnie z waszego szpitala.

- Aaa! - Pielęgniarka wzięła do ręki kartę chorego. – Pani mąż, pani Metcalf, nie odzyskał jeszcze przytomności. Niemniej jego stan jest ustabilizowany. Lekarze stwierdzili lekki wstrząs mózgu, dwa złamane żebra, złamaną nogę. Są możliwe wewnętrzne obrażenia.

Casey zamknęła oczy. Przez cały czas miała nadzieję, że nie jest aż tak źle. Nadzieja okazała się płonna. Jest bardzo źle. Bobby od wypadku nie odzyskał przytomności. To po części tłumaczyło, dlaczego oni tu myślą, że mają do czynienia z jego żoną. Bobby coś musiał mieć w papierach.

- Czy mogę go zobaczyć?

- Ależ oczywiście, pani Metcalf.



Poszła do wskazanego pokoju. Na jednym z dwóch łóżek natychmiast rozpoznała znajomą sylwetkę. Usiadła i patrzyła. Na białej jak płótno twarzy odcinały się bardzo długie rzęsy. Nigdy nie zwróciła uwagi na to, że są takie długie. Silna szczęka wydawała się jeszcze bardziej wydatna. Wyraz twarzy rannego był jakby zgorzkniały.

Wstała z krzesła i podeszła. Delikatnie ujęła bezwładną dłoń.

- Witaj, Bobby! - powiedziała cicho. - Boże, gdybym tylko wiedziała, jak mogę ci ulżyć! Przyjechałam zaraz po tym, jak mnie zawiadomiono...

Jakby w jej słowach tkwiła jakaś magia, rzęsy Bobby'ego zadrgały, a potem otworzył oczy, choć patrzył nieprzytomnie.

- Cześć! - Uśmiechnęła się. - Jak się czujesz? Bobby wymamrotał jedno słowo:

- Maribeth?

Casey przypomniała sobie, że tak miała na imię kobieta, z którą Bobby nie chciał się żenić. Czyżby ona, Casey, była do niej podobna, czy też Bobby o niej śnił?

Otworzyły się drzwi i weszła pielęgniarka, z którą Casey przed chwilą rozmawiała.

- Dopiero co otworzył oczy - poinformowała pielęgniarkę.

- Zauważyliśmy na monitorze, że odzyskuje przytomność.

Poznał panią?

- Chyba nie.

- Szybko to nastąpi, bo wychodzi z zapaści. Zawiadomię doktora. - Pielęgniarka uśmiechnęła się do Casey, a potem poprawiła wyciąg, na którym znajdowała się jedna noga chorego.

- Aha, właśnie przyszła jakaś para i pytała o niego. Powiedziałam im, że jest z nim żona. Czekają w salce dla odwiedzających. Chcą z panią mówić.

Casey poszła we wskazanym przez pielęgniarkę kierunku i zobaczyła bardzo przystojnego mężczyznę i piękną kobietę. On wysoki i urodziwy, ona, z miedzianymi, wspaniałymi włosami i regularnymi rysami twarzy, mogła obudzić zazdrość w sercu każdej kobiety.

- Państwo chcieli mnie widzieć? - spytała Casey.

- Pani była u Bobby'ego? - spytała kobieta.

- Tak.

- I jak on się czuje? Nikt nam nic nie chciał powiedzieć.

Gdybyśmy przypadkiem nie dosłyszeli jego nazwiska w komunikacie policyjnym, to nie wiedzielibyśmy nawet, że miał taki okropny wypadek.

- Bobby odzyskuje przytomność - poinformowała Casey.

- Ale odniósł bardzo poważne obrażenia.

- O Boże! - wykrzyknęła kobieta i postąpiła parę kroków do Casey. - Ale co mówią lekarze?

Mężczyzna wystąpił przed nią.

- Jestem Chris Cochran, a to moja żona, Maribeth. Znamy Bobby'ego od dziecka. Zadzwoił do nas wczoraj wieczorem i

powiedział, że zmierza w naszym kierunku... Mieszkamy w Dallas. Chciał się u nas zatrzymać na noc. I nie przyjechał. No i właśnie z policyjnego komunikatu dowiedzieliśmy się o wypadku... To był bardzo poważny wypadek. Są zabici.

Maribeth! Kobieta, z którą Bobby miał się przed laty ożenić! Casey poczuła się bardzo głupio. I dziwnie skrępowana. Jakaż ona jest piękna!

- Jestem Casey Carmichael - przedstawiła się, ubierając twarz w kwaśny uśmiech. - Bobby opowiadał mi o pani. Ale nie wyobrażałam sobie, że pani tak wygląda...

- Jest pani w lepszej sytuacji od nas - odparła po chwili wahania Maribeth. - My nic o pani nie wiemy. Bobby nigdy nam o pani nie wspominał... - W tych słowach kryło się nieme pytanie, na które odpowiedź nie była łatwa.

Casey ma się teraz przedstawić jako kto? Była żona, przyjaciółka? Znajoma? Każde z tych wyjaśnień wymagałoby dalszych wyjaśnień, na co nie miała najmniejszej ochoty, niemniej musiała coś powiedzieć. I zdecydowała się na powiedzenie prawdy:

- Nie wiem, dlaczego szpital mnie zawiadomił. Może Bobby miał przy sobie stare papiery, których nie uaktualnił. Nie rozumiem. Byliśmy małżeństwem bardzo krótko...

- Małżeństwem?! - wykrzyknęła Maribeth. - Dlaczego, na miłość boską, Bobby nam nigdy o tym nie powiedział? Kiedy to było? Dlaczego nas z panią nie poznał? Nigdy nie było pani na ranczu, kiedy je odwiedzaliśmy.

- Na jakim ranczu? - zdziwiła się Casey.

- Nie zna pani rancza Bobby'ego? Była pani jego żoną i nic nie wie pani o ranczu? On o niczym innym nie mówi od osiemnastu miesięcy...

Z kłopotu znalezienia odpowiedzi wybawiło Casey pojawienie się pielęgniarki.

- Odszukałam lekarza - powiedziała bardzo z siebie zadowolona.

- Poszedł zbadać pani męża i za kilka minut chce z panią porozmawiać.

- Dziękuję - odparła Casey. - A ci państwo są bliskimi przyjaciółmi Bobby'ego i wiem, że on bardzo chciałby ich zobaczyć.

- Muszę skonsultować to z lekarzem. - Pielęgniarka uśmiechnęła się i odeszła.

- Jestem bardzo zakłopotana - odezwała się Casey po jej odejściu. - W szpitalu myślą, że jestem jego żoną...

- A czy tak nie jest? — spytała Maribeth. - Sama pani powiedziała...

- Byliśmy małżeństwem przez kilka miesięcy. Bobby miał zająć się anulowaniem małżeństwa. Zakładałam zawsze i nadal zakładam, że to zrobił...

Maribeth spojrzała na Chrisa. Miała dziwny wyraz twarzy. Potem odwróciła się do Casey i spytała:

- Kiedy dokładnie pobraliście się?

- Daj spokój, kochanie! Casey nie może być przecież tą kobietą, z którą dawno temu pobrał się w Las Vegas. Ta pani... - wskazał na Casey - miała wtedy nie więcej niż jedenaście lat.

Casey poczuła, że się czerwieni. Sama nie wiedziała, dlaczego. Była nadal poruszona faktem, że Bobby nigdy nie wspomniał o niej swoim bliskim przyjaciołom. Z drugiej strony, jaki miałby powód, aby chwalić się tym epizodem swojego życia.

- Przed czterema laty - odpowiedziała kobiecie. - Ale pozostawaliśmy ze sobą tylko przez lato... Bardzo się cieszę, że Bobby ma wreszcie swoje wymarzone rancho. Mówił mi często, jak bardzo pragnie gdzieś osiaść.

Pomyślała sobie jednocześnie, że być może Bobby poszedł po rozum do głowy i wykorzystał do kupna ranca jej pieniądze.

- Jeśli wasze małżeństwo zostało anulowane, to dlaczego pani tu jest? - spytała dość obcesowo Maribeth.

- Zadzwoniono po mnie ze szpitala i powiedziano, że jestem... najbliższą rodziną. Bardziej przejęłam się jego wypadkiem niż tym, że się pomylili.

Do salki wszedł doktor i głośno zawołał:

- Pani Metcalf? - Casey mimo woli skinęła głową. - Jestem doktor Johnson. - Podszedł i przywitał się. - Pani mąż powoli odzyskuje przytomność. Bardzo powoli. Ze względu na liczne obrażenia, między innymi również głowy, znajoma twarz bardzo by pomogła w procesie.

Casey nie miała zamiaru opowiadać lekarzowi o swych skomplikowanych stosunkach małżeńskich, więc po raz wtóry skinęła głową i powiedziała:

- Ci państwo są w bardzo bliskich z nim stosunkach. Wiem, że chętnie ujrzećby ich twarze, bo przed wypadkiem do nich właśnie jechał. Czy mogliby wejść razem ze mną?

- Dobrze, niech wejdą — zgodził się doktor Johnson po zlustrowaniu byстрыm spojrzeniem urodziwej pary.

Gdy we troje, weszli do szpitalnego pokoju, Bobby obrócił ku nim głowę. Spojrzenie miał martwe, twarz bez wyrazu. Milczał.

- Jak się czujesz, Bobby? - spytała Casey, podchodząc do łóżka. Czuła na sobie spojrzenia pozostałych.

- Jakbym dosiadł o jednego byka za dużo... - Próbował się uśmiechnąć, patrząc badawczym wzrokiem na Casey.

Doktor Johnson chrząknął rozbawiony.

- Teraz wszystko pójdzie już szybko. Znajome twarze pomogą panu...

- To ja powinienem znać kogoś z was? - przerwał mu Bobby. Po tych słowach zapadła w pokoju głucha cisza. Casey wstrzymała oddech. Bobby z wyrazem zdziwienia na twarzy przenosił kolejno wzrok z jednej twarzy na drugą.

- Poznaje pan swoją żonę? - spytał lekarz.

Bobby zamknął oczy i dopiero po długiej chwili je otworzył.

- Nie przypominam sobie, że bym był żonaty. - Miał nadal martwy wyraz twarzy i błędne spojrzenie.

Casey wydeła usta. Poczula dziwną w tej sytuacji pretensję, że Bobby w ogóle jej sobie nie przypomina. Mógł nie pamiętać o ślubie w Las Vegas, ale... Z drugiej strony nie pamięta też tamtych dwojga. To ją nieco pocieszyło.

- Czy pamiętasz wypadek? - spytał go Chris.

- Z was czworga... Bo was jest czworo, prawda... znam tylko pana doktora. - Wskazał palcem. - Pan doktor, prawda? - Doktor skinął głową. - Więc, jak już mówiłem panu doktorowi... nic nie pamiętam. Nie wiem o żadnym wypadku. Ja nic w ogóle nie wiem. Od was tu... od tej pani... - głową wskazał Casey - ..dowiedziałem się, że na imię mam Bobby.

---

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

---

Casey, Maribeth i Chris siedzieli w szpitalnej kawiarni. Pojadając kanapki i popijając kawę, rozmawiali oczywiście o Bobbym.

- Płakać mi się chciało, kiedy go zobaczyłam w tym stanie - powiedziała Maribeth.

- Doktor Johnson uważa, że pamięć szybko mu wróci. Podobno czasowa amnezja jest regułą nawet przy lekkich obrażeniach głowy podczas wypadku - mruknął Chris.

- Lekkich? - Casey była niezmiernie zdziwiona - Mówiono mi o wstrząsie mózgu.

Czuła się zagubiona i przygnębiona, bardziej niż mogła się spodziewać. Przecież po upływie tych kilku lat Bobby stał się dla niej właściwie obcy. Nie utrzymywali żadnych kontaktów. Przeszłość odchodziła w mrok.

Jak powinna się teraz zachować? Co zrobić? Czekać tu w szpitalu, aż Bobby ją sobie przypomni... albo nie przypomni? A może wyjaśnić lekarzowi, że popełniono omyłkę, wzywając ją tutaj?

Maribeth przerwała rozmyślenia Casey, proponując:

- Proszę zatrzymać się u nas na noc. Wrócimy tu jutro rano. Z pewnością Bobby będzie się czuł lepiej. Kto wie, czy do tego czasu nie odzyska pamięci. Dziś już tu nic nie zdziałamy. Nawet nie możemy go pocieszyć, bo niewiele do niego dociera. I pewno bardzo cierpi. Wszystko go musi boleć.



- Być może wszystko go boli, ale znając Bobby'ego, wiem, że nie przyznałby się do tego nawet najbliższym przyjaciołom. A chyba my troje nimi jesteśmy - dodał Chris.

Casey poczuła się jak oszustka. Nie była bliskim przyjacielem Bobby'ego. I bała się, że jeśli przyjmie propozycję zatrzymania się u nich, to zarzucają pytaniami. Co, kiedy i dlaczego?

- Bardzo dziękuję za zaproszenie, ale chyba zatrzymam się w jakimś motelu tuż obok szpitala. Chociaż nie jestem pewna, czy Bobby przypomni sobie mnie, nawet wtedy gdy odzyska pamięć, to jednak chcę tu być wcześniej rano. - Tłumaczenie to było dość niezręczne, ale Maribeth i Chris przyjęli je ze zrozumieniem.

- Oo, ja nie sądzę, by Bobby miał tyle żon, żeby mógł panią zapomnieć - zażartował Chris i dodał: - I to osobę tak urocą i urodziwą.

- To nie czas na takie żarty, Chris - skarciła go żona. - Bobby jest ciężko ranny....

- Doktor twierdzi, że stan krytyczny już minął i że z każdą godziną będzie się poprawiał. Możemy więc sobie trochę pożartować - odparł Chris. - A cóż znaczy między przyjaciółmi jakaś drobna amnezja... Czasami selektywna amnezja bardzo się przydaje.

- Jesteś niemożliwy! - stwierdziła Maribeth.

- Zawsze byłem i takiego mnie wzięłaś za męża - odciął się. - Więc nie wybrzydź teraz. A Bobby będzie za kilka dni naszym dawnym Bobby'ym. Jest twardy, najsroźsze byki nie mogły sobie z nim

poradzić... No, to jedziemy! Wrócimy tu jutro po południu. Do widzenia, Casey!

Pożegnali się. Casey pojechała do pobliskiego motelu. Szybko położyła się, ale długo nie mogła zasnąć. Leżała wpatrzona w mroczny sufit. Przez ostatnie cztery lata nigdy nie spędziła nocy w motelu. A po raz pierwszy zabrał ją do motelu właśnie Bobby. Potem zatrzymywali się w motelach wielokrotnie w czasie ich „małżeńskiego” lata. Obrazy z tego lata przesuwały się przed jej oczami jak w kalejdoskopie. Teraz Bobby leży o kilkaset metrów stąd, w szpitalu...

Nie mogła zasnąć. Chyba była zbyt zmęczona. Dziwny był ten dzisiejszy dzień. Rano roześmiałyby się w głos, gdyby jej ktoś powiedział, że jeszcze tego dnia czeka ją podróż w przeszłość... Życie bywa dziwne. Zmiany przychodzą nagle, bez ostrzeżenia...

Przez następne kilka dni Bobby to zapadał w pełną majaków otchłań, to rozmyślał nad swoim losem, nigdy nie będąc pewny, czy śni, czy też obcuje z rzeczywistością.

Czwartego dnia z pamięci zaczęły wyłaniać się pewne obrazy, przeważnie bez związku i mało wyraźne. Wreszcie udało mu się dojść do tego, kim jest i kim są Chris, Maribeth i Casey.

Najtrudniej przyszło mu w pełni uświadomić sobie, kim jest Casey. Cicha i jakby zagubiona kobieta. Zagubiona dlatego, że wezwano ją do szpitala jako jego żonę. No tak! Gdy tylko to sobie przypomniał, zaczął przeklinać siebie za to, że w swoich papierach zostawił jej nazwisko. Powinien był je skreślić. Tylko tego mu

brakowało - wizyty Casey Carmichael w czasie, kiedy on jest przykuty do łóżka, bezradny jak dziecko. Bo o niej zawsze myślał. A teraz ten wypadek ostatecznie zniweczył nadzieję, że może kiedyś ją przekona, iż, nie jest bezdomnym wędrownym kowbojem, który umie tylko przesiedzieć osiem sekund na grzbiecie byka.

Kilka dni później około południa do szpitalnego pokoju Bobby'ego wpadł jak burza Chris. Bobby właśnie odpoczywał po spacerze wokół pokoju. Obszedł go kilka razy wsparty na ramieniu pielęgniarki i teraz leżał zlany potem.

- Wyglądasz okropnie! - powitał go Chris, siadając. - Co się z tobą dzieje?

- Kazano mi zacząć chodzić, więc chodziłem.

- Nie miej takiej przerażonej miny. Gdybyś pamiętał przeszłość, tobyś wiedział, że spędziłeś już wiele dni w gipsie i w szpitalnych pokojach z powodu twoich ukochanych byków.

- Oo? Już sobie prawie wszystko przypomniałem. Mój lekarz mówi, że po takim trzepnięciu głową często traci się na pewien czas pamięć.

- No, to wspaniale, że odzyskujesz pamięć i siły. Casey i Maribeth będą uradowane. A propos Casey. Słuchaj no, stary, czyś ty przypadkiem nie zapomniał w przeszłości czegoś nam powiedzieć? O drugim ślubie, o którym nikt nic nie wiedział.

- A gdzie one się podziewają? - spytał Bobby, zerkając w kierunku drzwi.

- Maribeth zabrała Casey po zakupy. Casey przyjechała tu w pośpiechu i prawie nic ze sobą nie zabrała. Miała zamiar wracać tego samego dnia, ale została. Sam nie wiem, po co. Dla takiego drania jak ty... - Uśmiechnął się. - Obie zaraz przyjdą.

- Nie mówiłem nic o tym małżeństwie, bo ono właściwie nie było prawdziwe - przyznał Bobby.

- Trudno mi w to uwierzyć. Casey opowiadała nam o waszym wielkim tournée po zachodnich stanach.. Podróżowaliście podobno przez całe lato. Chyba to sobie przypominasz?

- Nie rób takich min, Chris. Choć raz w życiu bądź poważny, Casey była wtedy dzieckiem, ledwo skończyła osiemnaście lat. Nie zdawała sobie sprawy, w co się wpakowała. A nie miała dokąd pójść. To znaczy do jesieni, do rozpoczęcia studiów. Więc mi towarzyszyła i to wszystko. Ja nigdy nie wykorzystałem sytuacji. Przysięgam, że nie. A potem przez cztery lata nie widziałem jej ani razu.

- Zgadza się. Ona nam to wszystko mniej więcej tak opisała. Więc dlaczego masz ją wpisaną jako żonę?

Bobby długo milczał, zastanawiając się, co powinien powiedzieć Chrisowi. Owszem, jest jego bliskim przyjacielem i w zasadzie nie miał przed nim sekretów, ale tym razem po prostu wstydził się swojej naiwności. W naiwności tej ubrdał sobie bowiem, że on i Casey mają szansę wspólnej przyszłości. Z początku wszystko wydawało się łatwe. On rzuci koczownicze życie, pokaże Casey, że jest mężczyzną, na którego można liczyć, osiadzie gdzieś na stałe, na farmie, o której zawsze przecież myślał. I zazdrościł życia małżeńskiego Maribeth i

Chrisowi, którzy mieli już dwoje ślicznych dzieci. A jemu coraz głośniej bił dzwon. Trzydzieści cztery lata! Trzeba się spieszyć. Co potem? Potem ten cały jego zamysł wydał mu się dziecinadą, zaś Casey, o której nieustannie myślał, nieosiągalną istotą z innej planety. Niemniej, robiąc na początku optymistyczne założenia, poniechał pewnej istotnej czynności.

- Bo widzisz... Kiedy zostawiłem Casey na uniwersytecie, to jej powiedziałem, że wszystkim się zajmę. Wszystkim, to znaczy anulowaniem białego małżeństwa. Ona podpisała, co potrzeba, a ja nigdy nie złożyłem wniosku w sądzie...

- Ale heca! No, to dalej jesteście małżeństwem?

- Aha.

- Dlaczego nie złożyłeś papierów?

- Bo Casey była pierwszą dobrą sprawą, jaka mi się wydarzyła w życiu i pomyślałem... że nie chcę jej stracić... że się zejdziemy po ukończeniu przez nią studiów. Czy ja wiem, co jeszcze sobie ubrałem... No i przyschło.

- Mówisz, że jej nigdy nie miałeś? No to nie było nic do stracenia. Skoro ona nie miała pojęcia, że jest nadal mężatką, to przecież w każdej chwili mogła kogoś spotkać.

- W pewnym sensie miałem na nią oko. Taki jeden znajomy na uniwersytecie, wykładowca, informował mnie od czasu do czasu... Ale nie przekonuj mnie teraz, że to wszystko było głupie, bo ja sam o tym wiem - obruszył się Bobby. -I przestań mnie przesłuchiwać.

- Jesteś tak samo szalony, jak zawsze - stwierdził Chris. -

Ostatnie pytanie: dlaczego jej, do diabła, nie powiedziałeś o swoich uczuciach i nie pozwoliłeś, aby wasze stosunki i uczucia umacniały się i rozwijały?

- Nie chciałem, by ona wiedziała o tym, że ją pokochałem. Mogłaby czuć się zobowiązana za to, co dla niej pod wpływem nagłego impulsu zrobiłem. No cóż,, to wszystko jest teraz nieważne, nieistotne... Przepadło.

- Nie byłbym tego taki pewien.

- Niestety, to były mrzonki niemądrego kowboja...

- A ja bym na twoim miejscu nie rezygnował z próby realizacji tych mrzonek.

Bobby patrzył w sufit i uśmiechał się do siebie.. Nagle zaczął mówić z własnej woli:

- Wiesz co? Zacząłem oszczędzać, bo udawało mi się więcej wygrywać na zawodach rodeo. I wreszcie kupiłem ranczo. Żeby dowieść samemu sobie i jej, że potrafię, że dojrzewam. Wydawało mi się, że mam dużo czasu, no bo Casey chciała zostać weterynarzem, a studia weterynaryjne trwają dobre kilka lat... Wtedy ranczo zacznie przynosić dochody, ona będzie gotowa do podjęcia praktyki...

Pomyślałem, że się jakoś zejdziemy...

Bobby zamilkł, zdumiony, że się tak rozgadał. Chyba po raz pierwszy w życiu. W zasadzie nigdy nikomu nie mówił o swoich uczuciach i nie zwierzał się z marzeń.

Po długim milczeniu Chris odchrząknął i bardzo poważnie powiedział:

- Wiesz, co ja myślę, Bobby? Jeśli się postarasz, to wszystko może się ułożyć tak, jak to sobie wykombinowałeś...

- Co ty wygadujesz! To były tylko mrzonki, a do tego ten wypadek...

- Od chwili jej poznania pilnie obserwuję Casey - ciągnął Chris.

- Chciałem po prostu wiedzieć, co ją skłoniło, by właśnie na ciebie zwróciła uwagę...

- To nie było tak... - przerwał Bobby i zaraz zamilkł, gdyż nie miał zamiaru mówić o okolicznościach spotkania Casey w barze. - Nieważne. Mów dalej.

- Moim zdaniem Casey darzy cię cieplejszymi uczuciami, niż sobie wyobrażałeś. Bardzo się martwi twoim wypadkiem. Nie wie, co myśleć o tym, że prawnie jest nadal twoją żoną... Powinieneś zacząć od wyjaśnienia tego wszystkiego. Powiedz jej o swoim ranczu. Ba, powiedz, dlaczego je kupiłeś! Ona chce to wiedzieć. Powiedziałbym nawet, że ma nadzieję, iż twoje postępowanie przed czterema laty rzutuje na jej i twoją przyszłość. Myślę, że z łatwością mógłbyś ją przekonać, by w imię dawnej zażyłości pojechała z tobą na ranczo, by się tobą opiekować do czasu wyzdrowienia...

- Nigdy w życiu nie próbowałbym jej czegoś podobnego powiedzieć! To ja marzyłem o tym, by zaopiekować się nią, a nie odwrotnie...



- Na to przyjdzie czas. Czas... Na wszystko potrzebny jest czas. Teraz zaproś Casey na swoje ranczo. Zaproś ją. Pokaż, co próbujesz osiągnąć. Jestem pewny, iż szybko do niej dotrze, że robiłeś wszystko z myślą o niej. A przede wszystkim daj jej się ponownie poznać.

- Jak wytłumaczę sprawę dokumentu tożsamości z wpisem jej jako żony?

- Chwilowo nie musisz. - Chris szeroko się uśmiechnął. - Utraciłeś przecież pamięć. Odzyskujesz ją, ale selektywnie. Absolutnie nic nie pamiętasz na temat ślubu, rozvodu, dokumentów. Masz prawo nie odpowiadać na pytania, na które nie jesteś jeszcze gotów. A przede wszystkim wykorzystaj czas na nabranie sił. Casey natomiast niech się przyzwyczaja do wejścia po raz wtóry w twoje życie...

- Jest poważny problem. Nie mam teraz centa, wszystko władowałem w ranczo, mój samochód skasowany...

- Ponieważ wypadek nie był z twojej winy, towarzystwo ubezpieczeniowe twoich adwersarzy musi ci kupić wóz. Nie ma pośpiechu. Chwilowo spokojnie tu sobie leżysz z połamanyimi kończynami, pozbawiony pamięci, bez środka transportu...

- Przestań tyle gadać, bo nagle wyzdrowieję i trzepnę cię, czym się da...

- Ja chciałem dać ci do zrozumienia, że tylko my wiemy, że odzyskałeś pamięć. Możesz to wykorzystać...

- Lekarz także wie.



- To nie stanowi przeszkody. Najważniejsze, by przez pewien czas nie wiedziały o tym nasze panie. Casey będzie myślała, że ją dopiero poznajesz... To pomoże wam obojgu, jeśli tlą się iskierki uczucia.

- Iskierki! Jeśli o mnie chodzi, to jest coś więcej. Ale mam zacząć od kłamstwa?

- Nie musisz kłamać. Chyba że ona zacznie cię nagabywać na temat twojej amnezji. Wtedy zaczniesz stopniowo wszystko sobie przypominać. Zacznij od dzieciństwa i wędruj przez starsze lata. Długo nie przypominaj sobie ślubu, wtedy nie będziesz musiał się tłumaczyć z braku jego unieważnienia.

- Pokrętny z ciebie człowiek, Chrisie Cochranie.

- Bardzo ją kochasz? - spytał Chris, patrząc mu głęboko w oczy.

- Nie mówiłem, że ją kocham - odparł Bobby. - Powiedziałem, że to najlepsza sprawa, jaka wydarzyła mi się w całym życiu...

- Nie musiałeś mi nic mówić. Ja przez wiele lat cierpiałem z powodu nie odwzajemnionej miłości, póki nie usunąłeś się, dając mi szansę poślubienia Maribeth. I gdybyś Casey szczerze wyznał swoje uczucia, miałbyś teraz... ba, oboje mielibyście łatwiejszą sytuację.

- Nie mogłem. Bałem się tego samego, czego bałem się w wypadku Maribeth: że ją zranię, że nie potrafię spełnić jej oczekiwań.

- Ale teraz już nie musisz mieć tych obaw. Wszystko idzie ku dobremu. Czujesz się lepiej, pamięć ci wraca, Casey nie umknęła do siebie po godzinnej wizycie, tylko wynajęła pokój w motelu i codziennie cię odwiedza. Głowa do góry i rozpocznaj ofensywę!

Chris założył ręce za głowę i zadowolony oparł się o ścianę, sygnalizując tym gestem, że rozmowa skończona i że nadszedł czas na akcję.

Przez kilka minut Bobby w milczeniu przeżuwał wszystkie sugestie Chrisa, ale nim doszedł do konkretnych wniosków, przyszły panie.

Rozbawiło go to, że Maribeth i Casey mają tyle wspólnego. Obie rude. Z tym, że włosy Casey wpadały w jasny blond, a Maribeth gorzały czerwienią. Obie były wysokie, miały jasne oczy. Zauważył też, że ilekroć Casey pojawiała się tu z kimś, zawsze trzymała się z tyłu, jakby nie chciała afiszować się ze swoimi prawami albo też nie była pewna jego powitania.

- Jak się dziś czujesz, Bobby? - spytała Maribeth.

- Znacznie lepiej. Doktor powiedział, że jeśli nadal będzie tak dobrze szło, to mnie wypisze na weekend... - Chciał mówić coś jeszcze, ale przerwał mu Chris i Bobby miał ochotę skrócić mu kark, gdy usłyszał:

- Nie możesz sam wracać na ranczo. Jestem pewien, że doktor myśli, iż towarzyszyć ci będzie żona i zajmie się tobą. Ale wczoraj już ci wytłumaczyliśmy, że ona studiuje i nie mieszka z tobą na ranczu...

Casey bez chwili wahania przesunęła się do przodu.

- Wiecie co? Mam pomysł. Ja już prawie zaliczyłam rok akademicki. W przyszłym tygodniu mam egzamin końcowy. Bo to był mój ostatni rok studiów. Jestem już przygotowana do egzaminu.

Pozostaje mi letnia praktyka, ale mogę ją bez trudu odłożyć... - Casey mówiła szybko, jakby się bała, że Bobby może jej w każdej chwili przerwać. Zwróciła się do Maribeth i Chrisa: - Mogę przez pewien czas zostać z nim na ranchu, jeśli on zechce...

- Oczywiście, że Bobby będzie chciał - zapewnił ją Chris, nim Bobby zdążył zdobyć się na odpowiedź.

Oni wszystko za mnie załatwiają, psiakrew. Układają mi życie! Ale Bobby jednocześnie poczuł, że spada mu kamień z serca. Czyż przyjazd Casey na rancho nie byłby krokiem ku spełnieniu ukrytych marzeń? Z pewnością tak. Poza tym karty zostały rozdane przez Chrisa, teraz trzeba nimi grać. Odrzucając dumę, powiedział:

- Jeśli jesteś gotowa do takiego poświęcenia, Casey, to cóż mogę powiedzieć? Akceptuję z wdzięcznością.

Casey zaczerwieniła się po czubki włosów.

Ten pokrętny, cholerny Chris ma rację! Bobby Metcalf był po raz pierwszy w życiu poważnie zakochany. Zakochany po same uszy.

---

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

---

Nie tak planowałem powrót do domu, myślał z niesmakiem w półśnie Bobby, leżąc z tyłu w furgonetce Chrisa. Ale powinien być wdzięczny Chrisowi, że odwozi go z Fort Worth do powiatu San Saba. Cztery godziny jazdy w jedną stronę. Ileż by kosztowała karetka!

- Wszystko w porządku? - zapytał Chris zza kierownicy.

- Wolałbym siedzieć koło ciebie - odparł Bobby.

- Lekarz powiedział, że nogę musisz mieć uniesioną.

- Lekarze zawsze coś wymyślą. I tak trzymali mnie w szpitalu o tydzień dłużej, niż było trzeba. Mogłem już dawno być na ranchu.

- I zapłacić za to komplikacjami? Widzę, że to trzepnięcie w głowę odebrało ci resztę rozumu, którego nigdy za wiele nie miałeś. A dziś wypisano cię tylko dlatego, że pielęgniarki nie mogły cię już znieść, taki byłeś nieposłuszny.

Bobby już tej uwagi nie usłyszał, gdyż po prostu zapadł w drzemkę. Obudziło go otwieranie drzwi furgonetki. Po chwili zobaczył nad sobą uśmiechniętą twarz Chrisa.

- Co cię znowu tak bawi? - spytał.

- Ty. Dasz radę sam się wygramolić?

Bobby rozejrzał się dokoła. Słońce było już nisko nad wzgórzami. To znaczy, że przespał w samochodzie kilka godzin. A to z kolei znaczy, że jest jeszcze bardzo słaby. Spojrzał w kierunku domu i zobaczył Casey i Maribeth schodzące z ganku.

- Pytałem, czy sam się wygramolisz nie dlatego, że nie chcę ci pomóc, ale wiem, jak moja pomoc nadszarpnęłaby w twoim mniemaniu wizerunek dumnego kowboja - dodał Chris.

Bobby sięgnął po kule, a potem ostrożnie wyśliznął się z furgonetki na ziemię. Na szczęście w minionych latach często praktykował chodzenie o kulach i umiał się nimi dobrze posługiwać. Bez problemu dokuśtykał do ganku, gdzie powitały go obie kobiety.

- Jak samopoczucie? - spytała Maribeth. Casey tylko bacznie mu się przyglądała.

- Wszystko w najlepszym porządku! - odparł. - Co za ulga opuścić szpital. - Zamilkł, ponieważ pokonywanie schodków wymagało pełnej koncentracji.

Gdy znalazł się w domu, Casey poinformowała go, że łóżko jest gotowe. Zjeżył się.

- Nie kładę się do żadnego łóżka. Ostatnio spędziłem w nim zbyt wiele czasu. - Nie oglądając się na nikogo, poszedł przez kuchnię do drzwi prowadzących do przedpokoju.

- Poznajesz tu cokolwiek? - spytał go cicho Chris. Bobby stanął jak wryty. Obrócił się i zobaczył całą trójkę wpatrzoną w niego z wielką uwagą. Co miał teraz Chrisowi odpowiedzieć? Że przypomina sobie, jak przed paroma tygodniami opuszczał tę kuchnię? Nagle przyszło olśnienie:

- To miejsce jakby przez mgłę sobie przypominam. Ale nie jestem zupełnie pewien, bo tu jest bardzo czysto i panuje porządek. U mnie nigdy tak nie było.

Po tej odpowiedzi wszyscy jakby odetchnęli z ulgą. Chcąc pomóc Bobby'emu naprawić błąd, Chris zaproponował:

- Może jednak pójdziesz do swojego pokoju. Połóż się na kanapce... Tylko pamiętaj, żeby mieć nogę w górze.

- Myślisz, że bez pomocy znajdę mój pokój? - Wzruszył ramionami i ruszył wolno w kierunku przedpokoju.

Od chwili pojawienia się Bobby'ego Casey stała w drzwiach kuchni, zastanawiając się, co powinna teraz zrobić i jak się zachować. Łatwo jej przyszło zgłosić się na ochotnika do opieki nad nieporadną ofiarą wypadku, co innego natomiast dawać sobie radę w tej zupełnie nowej sytuacji.

Widząc niepewność na jej twarzy, Maribeth pospieszyła z pomocą:

- Nie zazdroszczę ci opieki nad nim, kiedy jest w takim nastroju. Rozumiem go. Ograniczenie swobody poruszania dla kogoś tak aktywnego jak Bobby musi być okropne.

- Tak, to prawda. W ubiegłym roku musiałam mieć założony gips, kiedy mi koń nastąpił na nogę. Nim zdjęli mi gips, byłam kłębkim nerwów.

- Bobby miał rację - powiedział Chris, rozglądając się po kuchni.  
- Musiałyście cholernie się napracować, żeby doprowadzić to do takiego wyglądu. Nie zostało śladu po bałaganie kawalerskiego gospodarstwa.

- Widać, że Bobby nie spędza wiele czasu w domu - stwierdziła Casey.

- No cóż, ranczerska mentalność - dodała Maribeth. - Dom to dach nad głową jedynie w nocy. W dzień najważniejsze jest bydło.

- Przykro mi przerywać miłą pogawędkę, drogie panie, ale czas umyka. Maribeth, musimy ruszać, jeśli chcemy dojechać dziś do domu!

- Dasz sobie radę sama? - zwróciła się Maribeth do Casey.

- Nie zostaję zupełnie sama. W razie potrzeby mogę się zwrócić o pomoc do jednego z dwóch pracowników rancza.

- Idę do naszego ponuraka, żeby mu powiedzieć, że wyjeżdżamy. - Chris ruszył w stronę przedpokoju. - A tobie, Casey, będzie się należał medal, jeśli w ciągu pierwszych dwudziestu czterech godzin nie stracisz nad sobą panowania i nie udusisz naszego sfrustrowanego inwalidy.

- Jestem ci niezmiernie wdzięczna za wszystko... - powiedziała Casey, gdy Chris wyszedł. - Bardzo ci dziękuję, Maribeth. Co ja bym przez te dwa tygodnie zrobiła bez was!

- Nam jest bardzo miło, że mogliśmy pomóc. Bobby to w pewnym sensie rodzina. I ogromnie się cieszę z poznania ciebie, Casey. Znając teraz całą historię, jestem pełna podziwu dla ciebie, że zgodziłaś się nim zaopiekować, mimo iż przez tyle lat nie utrzymywałyście kontaktu, a teraz Bobby nawet sobie ciebie nie przypomina.

- Akceptowałam fakt, że przez te lata studiowałam i wcale nie pytałam, dlaczego go poślubiłam.

- Dobrze, że zatrzymali go w szpitalu jeszcze na tydzień.

Przynajmniej mogłaś wrócić na uczelnię i zdać końcowe egzaminy. ..

Teraz nigdzie się nie spieszysz, prawda?

- Na razie, nie. Ale na jesieni ciąg dalszy. Specjalizacja weterynaryjna. Właściwie nie wiem, jak to będzie. Za wcześnie, żeby o tym rozmawiać z Bobbym. Ale pewno będzie zadowolony, że sobie pojedę i dam mu święty spokój. On nie lubi nianiek, a to jest moja rola tutaj, no nie?

- Nie jestem pewna, czy tylko - odparła znacząco Maribeth. - Bobby zaczyna sobie przypominać coraz więcej rzeczy. To dobry znak. I może sobie również uświadomić wiele spraw w sferze uczuciowej...

- Przypomina sobie głównie dzieciństwo w Agua Verde-. A jeśli idzie o uczucia...

Casey starała się wyrażać oględnie. Nie chciała, by ktokolwiek wiedział, jak silnie odrodziło się jej uczucie do Bobby'ego, od chwili gdy ponownie wkroczył w jej życie. Tych dwoje i tak z pewnością się domyśla. Na pewno zastanowił ich fakt, że ona wszystko rzuca, by być przy mężu, który w jej mniemaniu dawno przecież przestał nim być!

Wrócił Chris, by zabrać Maribeth i ruszać w drogę. Po uściskach i zapewnieniach, że będą w kontakcie, odjechali. Casey pomachała im jeszcze na ganku, potem wróciła do domu. I co dalej? W sypialni leży rozjuszony dzikus pozbawiony trzech czwartych pamięci, a ona ma teraz nim się opiekować i pomagać mu w powrocie do zdrowia...



Założyła sobie, że nic na siłę. Nie będzie się z nim kłóciła i stale przeciwstawiała, co czyniła w przeszłości. Będzie spokojna i pokaże, jak dalece dojrzała od tamtego czasu. Szkoda, że on sobie jej nie przypomina jako osiemnastolatki. Miałby możliwość porównania.

Przez chwilę rozglądała się po kuchni, ale doszła do wniosku, że to jej chwilowo nic nie da. Z sąsiedniego pokoju dobiegły odgłosy telewizyjnych wiadomości..

Zdecydowała się iść do Bobby'ego, który powitał ją uśmiechem i słowami:

- No cóż, ty i ja znowu sami...

- Znowu? - zdziwiła się.

- Chciałem powiedzieć, że... Sam nie wiem, dlaczego tak powiedziałem. - Zmieszał się.

- Mogę ci coś podać? - spytała.

- Jesteś moją żoną, ale nie służącą - odparł z irytacją w głosie.

Casey policzyła do dziesięciu i spróbowała jeszcze raz:

- Czy w szpitalu dali ci do zażywania w domu jakieś lekarstwa przeciwbólowe?

- A dali, dali... - Poklepał się po kieszeni koszuli.

- Nie zmęczyła cię droga ze szpitala? - Zrobiła jeszcze jeden wysiłek, by nawiązać jakąś rozmowę.

- Większą część przespałem... Nawet nie wiedziałem, kiedy i jak tu dojechałem... - Powiedział to już łagodniejszym tonem, jakby się usprawiedliwiał.

- Najważniejsze, żebyś teraz odpoczywał. Nie powinieneś dużo chodzić. I pamiętaj o trzymaniu nogi wysoko.

- Jakie to szczęście mieć taką troskliwą opiekunkę. - Nawet się uśmiechnął.

- Szczęście, że nie doznałeś gorszych obrażeń.

- Nienawidzę być bezradnym... - powiedział i szybko zmienił temat: - Powiedz mi coś o swoich studiach.

Zupełnie zapomniała! Przecież Bobby utracił pamięć! Jego pytanie mogło oznaczać, że pragnie się czegoś dowiedzieć o ich małżeństwie. On nic nie wiedział, że spędzili razem tylko kilka tygodni. Chris ją namawiał, by nie mówiła Bobby'emu, że byli ze sobą tak krótko, bo to może źle na niego wpłynąć w jego obecnym stanie. Niech myśli, że małżeństwo trwało długo, przerwane tylko jej studiami. Niech myśli, że nadal są małżeństwem. Nie wiedziała, dlaczego Chris tak radził, ale niech będzie.

Od chwili jej przyjazdu do Fort Worth,, po raz pierwszy spędzali czas sam na sam. Było więc zupełnie naturalne, że Bobby będzie zadawał pytania dotyczące ich samych.

- Lubię moje studia - odparła. - Jedne przedmioty bardziej niż inne, ale wszystkie mi odpowiadają.

- Szkoda, że byłem w szpitalu i nie mogłem uczestniczyć w uroczystości rozdania dyplomów.

- I ja na niej nie byłam. Zdałam egzaminy i powiedziałam, że muszę wracać do Fort Worth, bo mam chorego w domu. Przyślą mi dyplom...

Odetchnęła, widząc, że Bobby daje się wciągnąć w normalną rozmowę. Miała nadzieję, że pewne napięcie we wzajemnych stosunkach zacznie ustępować.

- To musi być bardzo dla ciebie nieprzyjemne dowiedzieć się, że jesteś żonaty z nieznajomą... - zaczęła, ale gdy Bobby zmarszczył boleśnie brwi, poczuła się winna.

Niepotrzebnie dotknęła bolesnego dlań tematu utraty pamięci. Szybko zaczęła opowiadać jakąś śmieszna historyjkę o jednym z profesorów na uczelni. Ku jej radości Bobby po wysłuchaniu roześmiał się. Ale zaraz potem jęknął, dotykając klatki piersiowej.

Zerwała się z krzesła i uklękła przy kanapce.

- Bardzo cię przepraszam, Bobby. Zapomniałam o twoich żebrach. Nie wolno cię rozśmieszać...

- Nic strasznego. Już się goją. - Spojrzał na nią badawczo.

- Jakie to dziwne mieć cię przy sobie... - powiedział niespodziewanie.

Serce biło jej bardzo mocno. Co też przyszło jej do głowy podejść do niego tak blisko?

- Zachowujesz się tak, jakbyś była bardzo skrepowana i niepewna siebie - zauważył. - Dlaczego?

- W przeszłości nie spędziliśmy ze sobą zbyt wiele czasu

- odparła.

- Dlatego, że chciałaś wyjechać na studia, czy też z innego powodu?

Nadeszła chwila, kiedy warto było skorzystać z jednej z rad  
Chrisa: operuj ogólnikami, unikaj szczegółowych wyjaśnień.

- Czy to w tej chwili ważne? - spytała. - Najważniejsze, że teraz  
jestem tu.

Zbliżył głowę i musnął wargami jej usta.

- W pełni się z tym zgadzam - odparł. Oblała ją fala gorąca.

Wstała i powiedziała:

- Muszę iść sprawdzić, czy potrawka już jest gotowa. Nie musisz  
wstawać. Przyniosę ci.... - Wybiegła z pokoju, nie czekając na  
odpowiedź.

Bobby został sam. Zagapił się w ekran telewizora, ale ani obraz,  
ani dźwięk do niego nie docierały. Jak powinien teraz postępować?  
Dlaczego Casey nie wspomniała ani słowem, że przed laty podpisała  
wniosek o unieważnienie małżeństwa? I bardzo się zmieniła przez te  
lata. Sprawilo mu prawdziwą satysfakcję, że jest taka dojrzała. To nie  
była jedyna zmiana. Casey nie spiera się, nie narzuca swoich  
rozwiązań.

Fizycznie podniecała go bardziej niż kiedykolwiek jakakolwiek  
kobieta z tych, które znał. Tak go podniecała, że nieważne stały się  
wszystkie obrażenia, jakich doznał W wypadku. Już teraz, tu, gotów  
był się z nią kochać, co nie należało do mądrych pomysłów, biorąc  
pod uwagę jego sytuację. Casey stanowiła wielki problem.

Była w jego domu, udając, że jest jego żoną, a on z kolei udawał,  
że niczego nie pamięta! Czysta farsa. Może Warto poczekać na  
kolejne akty.

Czy w którymś z nich Casey wyrazi wolę pozostania na stałe? Zechce uczynić fikcyjne małżeństwo prawdziwym? Gdyby nawet chciała, to nie stać go w tej chwili na żonę. Nie miałyby za co jej utrzymać.

Cała fura komplikacji. Niedługo przyjdzie chwila, kiedy będzie musiał wyjawić jej, że nadal pozostają w legalnym związku. Albo przedstawić inny scenariusz: że nigdy nie byli małżeństwem. Póki jej nie powie prawdy... Niech to wszyscy diabli! W każdym razie, mimo ogarniającego go pożądania, nie wykorzysta jej. Nie będzie zerował na jej chęci przyjscia z pomocą człowiekowi w biedzie.

Ale od czasu do czasu może ją pocałować, prawda? Chyba nie ma w tym nic złego?

I Bobby Metcalf pomyślał nagle, że mimo dotkliwego bólu nogi i klatki piersiowej jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak szczęśliwy. Aż bał się mieć nadzieję, że z tego układu może wyjść coś dobrego dla nich obojga. Niemniej zrobi wszystko, co może, by na zawsze zatrzymać Casey przy sobie.

---

## ROZDZIAŁ ÓSMY

---

Tego wieczoru Casey długo nie mogła zasnąć. Gdy pomogła Bobby'emu włożyć piżamę, kiwając smutno głową nad jego siniakami i głębokimi zadrapaniami prawie całego ciała, a potem pochyliła się, by poprawić mu poduszkę, on objął ją nagle za szyję, przyciągnął do siebie i zaczął całować. Uczynił to tak, jakby miał do tego pełne prawo. Mogła się oczywiście wyrwać, ale tego nie uczyniła. Uniosła się lekko, aby ciężar jej ciała nie spoczywał na pękniętych żebrach i najnaturalniej w świecie oddawała mu pocałunki. To było wspaniałe i podniecające.

Całowali się dłuższą chwilę, a kiedy wreszcie Bobby uwolnił ją z uścisku, zwlekała jeszcze kilka sekund, potem odsunęła się i z ociąganiem wstała.

- Dziękuję, cukiereczku - powiedział Bobby ochryłym głosem.
- Dziękuję za pomoc. Przy takiej pomocy szybko powrócę do zdrowia.

Skinęła głową bez słowa i wyszła z sypialni. Nazwał ją cukierczkiem, Czyżby zaczął przypominać sobie przeszłość? A może wszystkie poznane kobiety tak nazywał?

I jeszcze jedno: dlaczego nie zadał jej paru, zdawałoby się, podstawowych pytań? Czy pamiętał, jak się poznali? Nie pytał, jak długo ze sobą chodzili, nim się pobrali... Czyżby go to nie interesowało? Nie wydawał się też wcale zdziwiony, gdy bez słowa poszła do sąsiedniej sypialni. Przecież to naturalna rzecz spytać żonę, dlaczego nie kładzie się obok męża. Łóżko było bardzo szerokie, tak

zwane małżeńskie. Sama jednak nie wiedziała, co by mu odpowiedziała, gdyby o to zapytał. Zaniepokoiło ją bardzo, że wcale nie miała na końcu języka odpowiedzi, iż nie ma zamiaru i nie chce tego zrobić.

Nie odpowiedziałyby, że tu nie zostanie, ponieważ chętnie oddałaby się Bobby'emu i kochała się z nim... I pamiętała chwile spędzone z nim przed czterema laty. Cierpiała wtedy pod koniec ich wspólnej wędrowki z rodeo na rodeo, że Bobby nie okazuje żadnego zainteresowania nią. Teraz nie byli nawet małżeństwem, choć w szpitalu znaleźli u niego jakiś dokument stwierdzający, że jest jego żoną. Pewno Bobby od lat nie zaglądał do starego portfela. Kiedy teraz odzyska pamięć, trzeba będzie z nim o tym porozmawiać i sprawę wyjaśnić. Chwilowo musi pozostać tak, jak jest. Będzie udawała żonę, której on nie pamięta... I nie ma sensu dawać mu do zrozumienia, co ona do niego czuje. A to, co czuje, jest pozostałością zadurzenia osiemnastolatki. Zadurzenia, które niefortunnie przetrwało, choć dawno powinno wygasnąć. Trzeba je zdusić.

Patrzyła na otwarte drzwi do sypialni Bobby'ego. Nie zamknęła ich, ponieważ Bobby, poważnie poturbowany, fizycznie nie doszedł jeszcze do siebie i w nocy może czegoś potrzebować.

Do łóżka położył się bez protestu. Widziała, że jest słaby i ma podkrążone oczy. Nalegała, by połknął przeciwbólowe tabletki. Po niemrawych protestach zrobił to. Może będzie miał spokojniejszą noc.

Gdyby i ona mogła się teraz odprężyć, uspokoić i zasnąć. Tymczasem jej myśli powędrowały w krainę fantazji.

Co by było, gdyby...? Gdyby tamtego lata oddała mu się...  
Czy wówczas Bobby chciałby z nią pozostać i byłiby prawdziwym małżeństwem? Co by było, gdyby wówczas zaszła w ciążę? A gdyby zrezygnowała ze studiów i powiedziała, że z nim zostaje?

Przez minione cztery lata często zadawała sobie podobne pytania i wymyślała sceny z wymyślanego życia. Głupie pytania i głupie fantazje, ale pomogły jej wreszcie zasnąć...

Następnego ranka Casey była w kuchni, kiedy usłyszała podjeżdżający przed dom samochód. Wyrzała przez okno. Najpierw zobaczyła Bobby'ego, który stał przed drzwiami stajni, a potem wyskakującą z furgonetki brunetkę, która podbiegła do niego.

Kobieta była w jaskrawoczerwonej bluzce i obcisłych dżinsach, podkreślających zgrabną sylwetkę. Rzuciła się na szyję Bobby'emu, nie bacząc na kule, którymi się podpierał. Casey przyszło do głowy, że tak boa dusiciel dopada swoją ofiarę. Jeśli ofiara nie zareaguje, to zostanie uduszona...

Casey odwróciła się od okna. Niech Bobby zna, kogo chce, i niech się ściska, z kim chce! Zdegustowana pochowała umyte po śniadaniu naczynia i z niechęcią poszła do sypialni Bobby'ego, aby posłać mu łóżko. Przy okazji pozbierała porozrzucone ręczniki i zaniósła je do łazienki. Wypełniał ją zapach wody po goleniu, ten sam, który pamiętała z owych dni spędzonych z Bobbym w różnych motelach. Często wtedy przyglądała się, jak się goli i żartowała, że z pewnością się zatnie, jeśli będzie próbował dotrzeć do zagłębienia w



brodzie. Nigdy się nie zaciął. Ale był zły, że ona patrzy. Czasami gniewnie mrucał, a czasami żartobliwie ją przepędzał... Jakimże była wówczas dzieckiem! Teraz zapach budził w niej zupełnie inne myśli i pragnienia...

Kim, do diaska, jest ta kobieta, pomyślała, wykładając świeże ręczniki. Podeszła do okna i ponownie wyjrzała. Furgonetka stała nadal, ale nie było widać ani boa dusicielki, ani ofiary. Muszą tu gdzieś być. Razem!

Zobaczyła stajennego Slima, który właśnie wychodził ze stajni i przyjaznym gestem prawej ręki zęgnął kogoś, kto tam pozostał. Slim poszedł przez podwórze, wykrzykując coś do drugiego pracownika farmy, Pabla, który wyjrzał z niewielkiej szopy. Obaj wsiedli do starej furgonetki stojącej w cieniu pod drzewem i dokądś odjechali.

A więc teraz Bobby i czarnowłosa kobieta pozostali sami w stajni!

Ponieważ Casey nie widziała dla siebie żadnej palącej roboty aż do południa, kiedy to trzeba będzie przygotować lunch, zapragnęła nagle zwiedzić ranczo, to znaczy zabudowania gospodarcze. Poprzedniego dnia nie miała na to czasu, przygotowując dom na przyjazd Bobby'ego.

W ponurym nastroju poszła do swojej sypialni i z wielkim zacięciem zaczęła szczotkować włosy. Poprzedniego roku obcięła je do ramion, rezygnując z noszonych przedtem długich warkoczy. Po wyszczotkowaniu zgarnęła włosy na karku i spięła. Grzeczne uczesanie symbolizujące dojrzałość! Tak w każdym razie sądziła.

Przejrzała się w lustrze. Stwierdziła, że jest blada i ma jakby wypłowiałe oczy. Przyciemniła brwi i starannie nałożyła tusz na rzęsy. Doszła też do wniosku, że nie zaszkodzi odrobina pomadki do ust.

Dżinsy, które miała na sobie, wydawały się znośne. Kowbojska koszula była świeżo wyprana i wyprasowana. Na zakończenie raz jeszcze spojrzała w lustro, po czym marszowym krokiem przeszła przez przedpokój, kuchnię i tylnymi drzwiami wyszła na podwórze. Było puste.

Bez wahania zdecydowała, że zwiedzanie rozpocznie od stodoły znajdującej się tuż przy stajni. Podeszła do wielkich drzwi, uchyliła je i zajrzała w mrok. Po jednej stronie były boksy dla koni. Z iluminatorów w dachu padały ku ziemi promyki słońca. Usłyszała znajome odgłosy przestępowania z nogi na nogę i prychnania. No tak, Bobby powiedział, że ma kilka koni.

Postąpiła cicho kilka kroków, nie chcąc spłoszyć koni.

- Ooo! - usłyszała kobiecy głos wyrażający wielkie zadowolenie.

Casey stanęła jak wryta, cała nagle zeszywniała.

- Oo, Bobby!

Ten sam głos! Pełne satysfakcji jęknięcie. Potem jakaś rozmowa szeptem i następne słowa kobiety:

- Jakie kochaniatko!

Bobby Metcalf to... Casey tylko tyle zdołała pomyśleć.

Postanowiła położyć kres własnej niepewności i kilkoma

zdecydowanymi krokami dopadła boksu, z którego dochodziły odgłosy.

Kobietą i Bobby stali obok siebie, tyłem do wejścia do boksu i na coś patrzyli.

Casey przechyliła głowę, żeby lepiej widzieć i ujrzała parodniowe źrebie. Żrebak domagał się pokarmu od matki, która akurat nie bardzo chciała go karmić.

Bobby musiał usłyszeć jakiś szelest, a może głośny oddech Casey, bo się obrócił. Jednakże nie odsunął się od przytulonej do niego kobiety, która zastąpiła jedną kulę i przy okazji obejmowała go w pasie.

- Oo, to ty, Casey! - powiedział Bobby..- Przyszłaś zobaczyć noworodka?

Na te słowa kobieta odskoczyła na bok tak gwałtownie, że Bobby, tracąc podporę, zachwiał się i musiał chwycić się deski, by nie upaść. Uniosła brwi i spytała:

- Nie wiedziałam, że ktoś tu z tobą jest, kochanie! Czy to twoja młodsza siostra, która cię teraz niańczy?

Casey zatrzęśło. A w dodatku ten wyraz rozbawienia na twarzy Bobby'ego. Co oni sobie myślą? Że ona jest jeszcze nastolatką zdolną tylko do charytatywnej działalności? Przypatrując się kobiecie, Casey doszła do wniosku, że ma dobrze po trzydziestce, jest mniej więcej w wieku Bobby'ego. Przystojna, jeśli oczywiście ktoś lubi taką urodę. I takie kształty...

- Casey, poznaj moją sąsiadkę. Frankie Castillo. Frankie, to jest Casey Carmichael.

- Frankie, czyli Francesca - poprawiła kobieta. - Frankie jest zdrobnieniem nadanym mi przez Bobby'ego... Dopiero dziś rano dowiedziałam się o jego wypadku. Byłam wściekła, że nie zawiadomił mnie. Mógł dać znać ze szpitala. Natychmiast bym tam przyjechała.

Kobieta mówi zbyt szybko, pomyślała Casey. Ma coś do ukrycia.

- Kiedy ja... właśnie...-zaczął Bobby.

- To pani nic nie wiedziała? - zdziwiła się Casey. - Podczas wypadku Bobby uderzył się w głowę. Doznał lekkiego wstrząsu mózgu, a przy okazji stracił pamięć. Całkowicie. Nikogo nie poznawał. Nawet się dziwię, że tak od razu panią poznał...

- O, Bobby! Jakie to straszne! Ale już wszystko powraca, prawda? - Kobieta zwróciła się do Bobby'ego, ignorując ostatnią uwagę Casey.

- No cóż, będę znacznie szczęśliwszy, kiedy mi zdejmą z nogi gips - odparł wymijająco nieco zmieszany Bobby.

- To wiem, kochanie, ale powiedz mi o głowie. Już wszystko w porządku? - Frankie pieszczotliwie przeczesywała zmierzwione włosy Bobby'ego. Wspięła się też na palce i pocałowała go lekko w usta, pozostawiając nową porcję szminki obok poprzedniego wyraźnego śladu. - To musiało być dla ciebie straszne! - zaśpiewała tym samym głosem, jakim poprzednio reagowała na widok źrebięcia.

Klacz w boksie poruszyła się niespokojnie. A żrebak się przestraszył.

- Co ty wyprawiasz, stara - powiedział Bobby. Otworzył furtkę boksu i sięgnął po kulę opartą o przepierzenie. Frankie podeszła do Casey.

- Bardzo mi miło panią poznać. Skąd pani zna Bobby'ego? Przez sekundę Casey zastanawiała się nad odpowiedzią. Wybrała najprostszą:

- Oo, znam go od dawna. Pobraliśmy się przed czterema laty.

---

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

---

Zanim zdumiona para zdobyła się na jakiś komentarz, Casey obdarzyła oboje identycznym uśmiechem i dodała:

- Przyszłam tu, żeby wam powiedzieć, że zaparzyłam właśnie kawę. Przyjdźcie, jeśli macie ochotę. A poza tym ty, Bobby, masz leżeć i trzymać nogę w górze, jeśli nie chcesz żadnych komplikacji. - Obróciła się i wybiegła ze stajni, jakby ją goniło stado wilków.

Była pewna, że wkrótce pojawi się Bobby, żeby ją udusić. Wskazywał na to jego wyraz twarzy w stajni, niemal równy osłupieniu malującym się na obliczu kobiety.

Po co właściwie ona to powiedziała? W zasadzie nie skłamała. Przed czterema laty wyszła za Bobby'ego i byli małżeństwem przez kilka miesięcy. A teraz istnieje pewne zamieszanie, co do jej statusu w ogóle, no i w tym domu. Ale małżeństwo jest chyba anulowane czy też unieważnione. Chris zadał jej pytanie, czy wniosek został zarejestrowany. Nie wiedziała nic na ten temat. Wszystko, co potrzeba, miał zrobić Bobby.

A jeśli Bobby tego nie zrobił, to nadal są małżeństwem... Ta myśl wcale jej nie przerażała, tak jak powinna, no bo przecież jeszcze tego ranka układała sobie w głowie plan dalszych studiów weterynaryjnych.

A jeśli nawet są z punktu widzenia prawa małżeństwem, to nic nie przeszkadza, by kontynuowała studia. Czy będą jakieś następstwa wyjawienia tej kobiecie sekretu z przeszłości?

Zatrzasnęła za sobą drzwi kuchni i zabrała się do parzenia kawy, która miała już być rzekomo zaparzona. Powróciła też do poprzedniej myśli: to nie jej wina, jeżeli Bobby i ona są nadal małżeństwem.

Może nie należy się tym martwić, bo nic nie wiadomo na pewno. Może od lat już nie są małżeństwem? Może Bobby niepotrzebnie nosił ze sobą jakiś stary dokument, którym posłużył się w szpitalu. Jeśli tak, to sam się skompromitował w oczach Frankie... zbyt ochoczo całującej sąsiadki.

Miała nieprzepartą chęć pokazać Frankie język. Czy to byłoby dojrzałe zachowanie? Młodsza siostrzyczka do pielęgnowania braciszka, psiakrew!

Usłyszała ich kroki na schodach ganku, przyciszone głosy i śmiech. Casey spokojnie wyjęła upieczone poprzedniego dnia kruche ciasteczka i wyłożyła je na talerz. Rozstawiała kubki z kawą, kiedy Frankie otworzyła drzwi kuchni i pozwoliła Bobby'emu wkuśtykać do środka, a potem weszła sama.

- Twoje ostrzeżenie przyszło za późno, Casey - powiedział Bobby, krzywiąc się. - Noga zaczęła mnie piekielnie boleć.

- Idź od razu do saloniku i połóż się na kanapce. Poustawiam wszystko na tacy i przyniosę.

- Mogę pomóc? - spytała Frankie.

- Owszem. Niech pani zabawi Bobby'ego, póki nie przyjdę. - Mówiła tonem matki proszącej o opiekę nad rozkapryszonym dzieckiem.

- Serdeczne dzięki - odparł Bobby, wyraźnie poirytowany słowami Casey.

Natomiast Frankie roześmiała się.

- Zobaczę, co da się w tej materii zrobić - odparła i spojrzała na Bobby'ego. - Masz może jakieś sugestie, co do sposobu, w jaki mam cię zabawiać? - Poruszyła sugestywnie dość krągłym tułowiem.

Casey złapała się na tym, że zgrzyta zębami. Czym prędzej odwróciła się, by nie oglądać tego przedstawienia.

Poustawiała kubki na tacy, obok talerz z ciasteczkami i poszła za parą, która przed półminutą zniknęła w saloniku.

Zastała Frankie, podkładając poduszkę pod głowę Bobby'ego.

- To nie głowa, ale noga musi być podniesiona - odezwała się ostro, widząc, że noga w gipsie spoczywa nadal na ziemi.

Frankie posłusznie uniosła nogę, położyła na kanapie i podłożyła poduszkę.

Casey była zła, że Bobby wyszedł tego ranka z domu i tak długo pozostawał poza nim, ale co mogła zrobić? Jak go zmusić, żeby jednak przeleżał jeszcze kilka dni? Najbardziej uparty człowiek ze wszystkich, jakich znała. Obiecał jej, że wychodzi tylko na chwilę, żeby zamienić parę słów ze Slimem, a potem...! Potem przyjechała ta baba i został.

Teraz płaci za to cierpieniem. Dobrze mu tak! Jednak ogarnęło ją współczucie, kiedy w jego oczach zobaczyła cierpienie. Dlaczego on musi zawsze udawać chojraka? Bo jest twardym człowiekiem, który nie lubi cackać się ze sobą. Włosy stawały jej na głowie, gdy



wysłuchiwała opowieści Chrisa i Maribeth na temat ryzyka, jakie Bobby często i niepotrzebnie, ich zdaniem, podejmował.

Jak to dobrze, że wreszcie rzucił to ujeżdżanie byków. Nie wytrzymałaby tego. Przed czterema laty była zbyt naiwna i dziecinna, by zrozumieć nieustanne niebezpieczeństwo, jakie towarzyszy temu sportowi. Bobby i tak miał szczęście, że nie skręcił sobie karku.

- Bobby mówił, że właśnie uzyskała pani dyplom pierwszego stopnia i że czeka panią specjalizacja weterynaryjna - odezwała się Frankie.

- Gdzie jest ta kawa? - zapytał niemal jednocześnie Bobby. Pominąwszy pytanie Bobby'ego, Casey odpowiedziała Frankie:

- Tak. Specjalizację rozpoczynam na jesieni.

Frankie nadal siedziała przy Bobbym na kanapie. Sięgnęła po kubek i podała go leżącemu.

- Możesz pić w tej pozycji? - spytała.

Bobby uniósł się nieco, a Frankie natychmiast podsunęła mu pod plecy poduszkę.

- Dziękuję - powiedział. - Teraz jest doskonale.

- No, skoro jest doskonale, to ja się ulotnię, bo muszę przygotować lunch - powiedziała Casey. - Przepraszam państwa... - Wstała.

- Żadne takie - oświadczył Bobby. - Wypijesz z nami kawę. Z lunchem nie ma najmniejszego pośpiechu. Jest dopiero dziesiąta trzydzieści.

- Co ty mówisz? Dopiero dziesiąta trzydzieści? No to dobrze. Pójdę po kubek dla siebie.

Wstała i pobiegła do kuchni. Czego ten człowiek właściwie chce, pomyślała. Daję mu szansę, aby został sam na sam z przyjaciółką, a on mnie zatrzymuje.

Nie wróciła do saloniku, ale przez przedpokój poszła do swej sypialni. Nim do niej weszła, zdążyła usłyszeć wybuch śmiechu Frankie i Bobby'ego. Była bliska płaczu. Czy oni z niej się śmieją? Być może, przecież zachowywała się śmiesznie.

Ciekawe, jak tłumaczył się Bobby swojej przyjaciółce po wyjściu Casey ze stajni. W pełni zasługiwała na to, co mógł o niej powiedzieć. Zasługiwała, ponieważ postawiła Bobby'ego w sytuacji, w której musiał się tłumaczyć. Ale dlaczego żadne z nich nie wydaje się wytrącone z równowagi jej rewelacjami? Zakłopotana była tylko Casey.

Weszła do malutkiej łazieneczki przy swoim pokoju i obmyła twarz zimną wodą. Po diabła ona tu przyjechała? Ale skoro już jest, to musi się wziąć w garść i pokonywać kolejne przeszkody bez spadania z konia. Chwilowo, chcąc sprowokować Bobby'ego, sama sobie zrobiła krzywdę.

Kiedy z kubkiem kawy wróciła do saloniku, Frankie opowiadała o sytuacji na ranchu jej ojca. Gdy Casey usiadła, Frankie zaczęła jej wyjaśniać, że wróciła na rancho przed rokiem i chyba zanudziłaby się na śmierć, gdyby nie okazjonalne towarzystwo Bobby'ego.

- Uratował mnie przed załamaniem psychicznym - zakończyła, patrząc na niego z wdzięcznością.

- Ee, nie opowiadaj! - zaprotestował. - Przecież nic specjalnego nie zrobiłem.

- Słuchałeś... Umiałeś słuchać, to najważniejsze. Nie usiłowałeś wydawać sądów, nie prawieś morałów. Po prostu słuchałeś, pozwalając mi pozbyć się wszystkich żalów i gniewu.

- Nie jestem od tego, by sądzić i prawić morały, Frankie. Miło mi, że byłem na tyle wolny, by móc cię słuchać.

- Na tyle wolny, by słuchać, ale nie na tyle wolny, na ile się spodziewałam. - Znacząco podniosła brwi i spojrzała na Casey. - Jeśli mogę ci coś radzić, Casey, to staraj się na długo nie opuszczać tego przystojnego mężczyzny, bo może pojawić się ktoś, kto ci go wykradnie sprzed nosa.

Casey widziała tylko profil Bobby'ego, ale spostrzegła, że lekko zeszywniał.

- Zapamiętam twoją radę - odparła i upiła łyk kawy.

- Przyjdiesz na przyjęcie? - spytała Frankie Bobby'ego. - Tata od dawna planuje wielki spęd przyjaciół. Byłby rozczarowany, gdybyś się nie pojawił.

Nie tylko papa byłby rozczarowany, pomyślała Casey, ale i ty, moja droga!

- Chwilowo nic nie mogę obiecać - odparł Bobby. - Wszystko zależy od mojej nogi. Ale przyjęcie jest dopiero za dwa tygodnie. Jest szansa, że będę już mógł jako tako chodzić.

- Nie musisz dużo chodzić. Już teraz zgadzam się przesiedzieć z tobą moje tańce - obiecała uwodzicielsko Frankie.

Casey zauważyła, że cała twarz Bobby'ego nagle poczerwieniała, jakby zbyt długo siedział na słońcu. Szybko też zmienił temat, zadając pytanie na temat nowej rasy bydła sprowadzonej przez ojca Frankie. A gdy Frankie wreszcie powiedziała, że musi już iść, Bobby jakby odetchnął z ulgą. Casey odprowadziła ją na ganek i pomachała na pożegnanie.

Gdy tylko zatrzasnęły się drzwi samochodu Frankie, rozległo się wołanie:

- Możesz tu na chwilę przyjść, Casey?

Poszła na wezwanie, prosząc Boga, by był dla niej litościwy.

- Słucham? - spytała, stając w progu saloniku.

- Siadaj! Nie zajmę ci wiele czasu. - Ręką wskazał fotel. Usiadła na wskazanym miejscu, zaskoczona łagodnością jego głosu.

- Słucham? - Zabrzmiało to sucho i spokojnie, choć wcale tak się nie czuła.

- Co to miało być? O co ci chodzi?

- Nie rozumiem?

- Nie udawaj niewinnego baranka, cukiereczku! Wiesz dobrze, o czym mówię. Dlaczego powiedziałaś Frankie, że jesteśmy małżeństwem?

- Ponieważ byliśmy.

- Mhm...

- I do czasu, kiedy wszystkiego sobie nie przypomnisz...

- Oo, ja wszystko sobie przypominam - przerwał.  
- Czyżby? A od kiedy to? - Patrzyła na niego podejrzliwie.  
- Powiedziałem ci już wczoraj wieczorem, że pamięć od dłuższego czasu powoli mi powraca. Zaczęła powracać po pierwszych kilku dniach w szpitalu.

- I pamiętasz, dlaczego się pobraliśmy?

- Oczywiście!

Zachichotała nerwowo. Powiedział to tak uroczyście, jakby zeznawał pod przysięgą.

- A więc wczoraj wieczorem wcale nie potrzebowałeś mnie o to pytać?

- Nie, ale byłem niezmiernie ciekawy, co powiesz. Czy przyznałabyś uczciwie, że przyjechałaś opiekować się człowiekiem, który...

- Doskonale, pomówmy więc o uczciwości - przerwała mu. - Nie wydaje mi się, abyś postępował ze mną uczciwie.

- O czymże ty mówisz?

- Czy nasze małżeństwo jest anulowane? Złożyłeś wtedy papiery do sądu?

- Ja... to znaczy...

- Odpowiedź na to pytanie wymaga tylko prostego tak lub nie.

- Nasza sytuacja nie jest taka prosta. Cała sprawa nie jest prosta...

- Możesz mi to jaśniej wytłumaczyć?

- Chyba byłaś świadoma tego, że twój ojciec zacznie sprawdzać, czy rzeczywiście jesteś moją żoną? I był gotów sam wystąpić o natychmiastowe anulowanie związku, abyś nie mogła dostać tego spadku obwarowanego klauzulą zamąż-pójścia.

- Ale przecież dostałam spadek! Zapomniałeś? I kłóciliśmy się przez telefon o to, żebyś wziął połowę. O tym z pewnością pamiętasz?

- Dostałaś te pieniądze, których następnie tak ochoczo chciałaś się pozbyć...

- Wcale ochoczo nie chciałam się niczego pozbyć! Wiesz to dobrze. Miałam wobec ciebie zobowiązanie i chciałam się z niego wywiązać...

- Owszem, pamiętam wszystkie twoje irracjonalne argumenty. Do twojej wiadomości: pieniądze nadal leżą w tym samym banku, ale na twoje nazwisko. Czekają na ciebie. Nie wziąłem ani centa.

- Boże drogi! Jesteś najbardziej upartym człowiekiem na świecie. Ośło upartym!

- Do listy epitetów dopisz jeszcze, że jestem kłamcą.

- Nie rozumiem?

- Kiedy twój ojciec mnie dopadł i powiedział, że występuje o anulowanie małżeństwa, roześmiałem mu się w twarz. I powiedziałem, że mu się to nie uda, bo mam świadków, że przez całe lato żyliśmy ze sobą. Dowiedziałem się potem, że twój ojciec wynajął nawet detektywów, którzy kręcili się po rodeo i wypytywali moich kolegów. Na szczęście żyliśmy ze wszystkimi w przyjaźni i oni z

pewnością naopowiadali, jaką to tworzyliśmy romantyczną parę.  
Potem już twój ojciec nie próbował mnie nachodzić.

- I ojciec myśli, że żyliśmy ze sobą?

- To ci właśnie staram się wytłumaczyć, cukiereczku, moja ty dziewczyczka oblubienico! - Był bardzo poważny. - I nigdy tatusiowi nie mów, że tak nie było, bo gotów oddać cię do sądu, twierdząc, że posłużyłaś się fałszywymi dokumentami tylko po to, by otrzymać spadek.

Casey w zamyśleniu kiwała głową, niezbyt świadoma tego, co Bobby jej opowiada. Nagle dotarło do niej pełne znaczenie...

- Więc pewnie jesteśmy nadal małżeństwem? - Przedtem tylko dopuszczała taką możliwość.

- Tak. Miałem zamiar ci to powiedzieć, gdy ukończysz studia. Gdybyś jednak zaczęła z kimś chodzić, miała stałego chłopaka albo zamierzała uczynić jakiś poważny życiowy krok, to bym ci powiedział wcześniej...

- Skąd wiedziałeś, że nikogo nie mam i że nie zamierzałam uczynić, jak ty to nazywasz, poważnego życiowego kroku?

- Na twoim uniwersytecie mam znajomego wykładowcę. Prosiłem go, by miał na ciebie oko...

- Byłam szpiegowana?!

- Ależ nic podobnego! Ot, po prostu patrzył, widział cię...

Zawsze samą...

- Mogłeś mi to wszystko wcześniej powiedzieć!

- Nawet o tym myślałem, ale zdecydowałem inaczej. Zerwała się z fotela i zaczęła spacerować po pokoju, W pewnej chwili nagle się zatrzymała.

- Zdajesz sobie sprawę, że to, co zrobiłeś, to świństwo? Miałam prawo wiedzieć o poczynaniach ojca. Trudno mi uwierzyć, by cokolwiek usprawiedliwiało takie postępowanie. Czy twoja opiekuńcza mania kazała ci to zrobić? Dla twojej informacji: nie potrzebuję niczyjej opieki!

- Teraz na pewno nie - zgodził się. - Ale przedtem potrzebowałeś. Widziałem, jak bardzo cierpisz z powodu zachowania ojca. Wcale nie poczułabyś się lepiej, wiedząc, że on nadal zamierza uniemożliwić ci studia i prowadzenie takiego życia, jakie ci odpowiada.

Casey długo milczała, a w jej oczach pojawiły się łzy.

- Ja do niego pisałam, sądząc, że mi wybaczył lub jest gotów wybaczyć... a on przez cały czas... - Obróciła się do okna. Potem usiadła obok Bobby'ego. - Dobrze, Bobby. Przynajmniej wyjaśniliśmy sobie kilka spraw. Teraz wiem, że działałeś w dobrej wierze. Ale od tej chwili ja będę podejmowała wszystkie decyzje, które mnie dotyczą. Nie jesteś mi do tego potrzebny. Nie jesteś mi potrzebny, kropka. Jestem tu, zostanę jeszcze kilka tygodni, aż wydobrzejesz, i wyjeżdżam. Porozumiem się z adwokatem i posłucham jego rady. Może teraz złożę wniosek nie o unieważnienie małżeństwa, ale o zwykły rozwód. Jedno jest pewne: prawie nic nas nie będzie łączyć!



- Zrobisz, co zechcesz, cukiereczku. - Patrzył na nią z dużym rozbawieniem. - A przy okazji: kiedy już będziemy rozwiedzeni, to nie zapomnij zawiadomić o tym moich przyjaciół, łącznie z Frankiem... Chyba możesz to dla mnie zrobić, bo to ty narozpowiadałaś wszystkim, że jesteśmy małżeństwem.

Gdyby Bobby nie leżał już bezbronny na kanapie, toby go chyba powaliła ze złości na ziemię. Jak on śmie mówić do niej tym tonem? Jak on śmie z niej kpić!

Wybiegła z pokoju, póki jeszcze miała nad sobą jaką taką kontrolę. Dlaczego ten Bobby Metcalf zawsze tak gra jej na nerwach i doprowadza do szaleństwa. Nie знаła nikogo, kto działałby na nią w podobny sposób.

Oby mogła jak najwcześniej stąd wyjechać i nigdy więcej nie widzieć go na oczy. Za kogo on się uważa, do diabła?

Wiedziała dokładnie, za kogo. Za jej męża...

---

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

---

Głośno zapowiadane przez Frankie przyjęcie na ranchu rodziny Castillo mogło się odbyć dopiero w szóstym tygodniu pobytu tu Casey. Przedtem przez kilka tygodni dęły silne wiatry i siekł deszcz. Grunt był przesiąknięty wodą, a zaplanowana liczba gości wymagała ustawienia bufetów na zewnątrz.

Wreszcie nadszedł sobotni wieczór przyjęcia. Samochód prowadziła Casey, a drogę wskazywał jej siedzący obok Bobby. Wreszcie wjechali na prywatny dojazd do rancha Castillo. Podczas jazdy prawie wcale ze sobą nie rozmawiali. Prawdę powiedziawszy, rozmawiali bardzo mało także przez minione sześć tygodni. Bo właściwie o czym tu jeszcze mówić?

Stan fizyczny Bobby'ego bardzo się poprawił. Przed paroma dniami zdjęto mu gips, ale chodził jeszcze o lasce, by nie nad-wyręzać ledwo zrosniętej osłabionej nogi.

Poprzedniego dnia Casey zapowiedziała Bobby'emu, że w najbliższy poniedziałek wyjeżdża, ponieważ jej pobyt nie jest potrzebny, skoro zdjęto mu już gips. Była to jedna z niewielu okazji porozmawiania z nim, gdyż Bobby spędzał prawie cały czas poza domem, pochłonięty problemami rancha. Casey była trochę rozczarowana, że ani nie skomentował jej decyzji, ani nie wyraził żalu. Skinął tylko głową i poszedł wziąć prysznic przed kolacją.

Ostatnio nie widywali się nawet podczas śniadania. Bobby

jadł je wcześniej i wychodził z domu, zanim się obudziła. To, iż mimo wszystko pozostawała na ranczu tak długo, wynikało z faktu, że zobowiązała się być z nim do chwili zdjęcia gipsu. No i gips zdjęto...

Kiedy spytał ją, czy chce z nim jechać na przyjęcie na ranczo Castillo, odpowiedziała, że za żadne skarby nie opuściłaby podobnej okazji. W rzeczywistości bardzo chciała dowiedzieć się czegoś więcej o sąsiadce Bobby'ego, tym bardziej że Frankie nie pojawiła się więcej. Po co jej lepiej poznać Frankie? Żeby uspokoić sumienie, odpowiadała sobie w myślach.

Chcąc odpowiednio ubrać się na przyjęcie, pojechała do najbliższego dużego miasta, aby kupić coś, co należy włożyć na taką okazję. Bobby jeszcze nigdy nie widział jej ubranej naprawdę wyjściowo. Ale nie to było ważne, tylko chęć pokazania tej, tej... Frankie, że Casey nie jest niczyją młodszą siostrą.

Mimo milczenia Bobby'ego, gdy ją zobaczył w wizytowej sukni, wiedziała, że jej się udało. Mówiło to jego spojrzenie, a nawet nieco przyspieszony oddech.

Suknia była koloru brązowego, co doskonale harmonizowało z jej oczami i włosami. Materia nie oblepiała sylwetki, dekolt nie był zbyt duży, ale całość podkreślała jej kobiecą sylwetkę...

Przedtem nie uświadamiała sobie, że nigdy nie widziała Bobby'ego w niczym innym poza dżinsami. Na ten wieczór włożył czarny garnitur w stylu teksaskim. Cholewy czarnych teksańskich butów schowane były pod nogawkami spodni. Wizyta poprzedniego dnia u

fryzjera bardzo odmieniła jego wygląd. Wyglądał tak wspaniale, że Casey mocniej zabiło serce.

Ale Frankie rzuci się na niego, pomyślała. A niech się rzuca! Co mi do tego?

Dzisiejsze przyjęcie będzie dla Bobby'ego jakby powrotem do normalnego życia. Szczerze to cieszyło Casey. Była niemal szczęśliwa. A może raczej odczuwała ulgę.

Przez wiele kilometrów jechali w milczeniu wijącymi się polnymi drogami. W lusterku widziała reflektory innych jadących na przyjęcie samochodów.

- Będzie sporo ludzi - zauważyła.

- O tak! To jest ich doroczna impreza. Wieloletnia tradycja.

- Byłeś tu w ubiegłym roku?

- Aha.

- No i jak to się odbywało?

- Świetne jedzenie, wspaniała orkiestra, doskonałe wino, kobiety i śpiew...

- Ooo?

Przyszło jej do głowy, że może powinna była wyjechać jeszcze przed przyjęciem. Skoro Bobby tego nie sugerował, nie zaproponowała i ona. Nie pozwoliła jej na to ciekawość.

Na ostatnim zakręcie, nim jeszcze zobaczyła ranczo, usłyszała głośnie muzykę.

Dom był olbrzymi, otoczony wypielegnowanymi trawnikami. Choć Casey niełatwo było zaimponować, to jednak tu szeroko

otwierała oczy ze zdumienia. W porównaniu z tą posiadłością, dom Bobby'ego zasługiwał najwyżej na miano budynekczku mieszkalnego. A liczba samochodów na parkingu i ludzi na trawnikach sugerowała, że zaproszono tu chyba wszystkich mieszkańców powiatu.

- Ojej! - skomentowała to wszystko i posłusznie pojechała parkingową ścieżką wskazaną jej przez obsługę.

- Tak, co najmniej „ojej” - zgodził się Bobby.

- Kim jest ta rodzina? - spytała. - Nigdy o nich nie słyszałam.

Castillo?

- Ja też nie słyszałem, póki tu nie osiadłem. Nie lubią ostentacji i nie chcą, aby o nich mówiono. Alfonso Castillo, ojciec Frankie, ma cholernie dużo ziemi, gazu ziemnego i ropy pod ziemią oraz ogromną liczbę bydła.

- Frankie to jego jedyne dziecko?

- O nie! To duża rodzina. Ale wszystkich nie znam. Bobby wysiadł z wozu, obszedł go i otworzył drzwi Casey.

- Nie powinieneś tego robić. Jeszcze długo musisz pamiętać o nodze.

- Nie zapomnę, chociaż nie będę już miał ciebie, żebyś mi ciągle o tym przypominała. Ale wiem też, że nogę trzeba ćwiczyć. Już mam dosyć roli inwalidy. Nigdy się w niej dobrze nie czułem.

- Czyżby? Nie zauważyłam tego. Grałeś ją doskonale.

- Nie gadaj za dużo, cukiereczku. Chodź, idziemy się bawić!

Bobby wydawał się być w doskonałym humorze. Chyba po raz pierwszy, od kiedy zobaczyła go w szpitalu. Nie wiadomo dlaczego to

stwierdzenie poważnie ją zmartwiło. Posmutniała, ale pomyślała jednocześnie, iż najważniejsze jest to, że Bobby jest szczęśliwy.

- Czy już ci powiedziałem, że ślicznie dziś wyglądasz? - spytał ją, gdy trzymając się za rękę, szli przez trawnik w kierunku światła i tłumu gości.

- Nic na ten temat nie mówiłeś.

- Czy to nowa suknia?

- Nie miałam ze sobą żadnej wizytowej sukienki. Tak rzadko gdzieś wychodzę.

- Ja też.

- A czy to nowe ubranie? - spytała.

- Nie. - Roześmiał się. - Mam go już od dłuższego czasu, ale brakowało mi okazji, by z niego skorzystać.

- Wyglądasz dziś wspaniale - powiedziała przez nagle zaciśnięte gardło.

- Dzięki. - Ścisnął jej rękę.

Casey posmutniała jeszcze bardziej, gdy zobaczyła Frankie, która wyglądała wręcz oszalamiająco w powiewnej szkarłatnej sukni. Obok niej stał starszy mężczyzna. Pewno jej ojciec, pomyślała.

I miała rację. Gdy zbliżyli się do pary witającej gości, Frankie powiedziała do starszego mężczyzny:

- Nareszcie przyszedł Bobby! Tato, Bobby i Casey Metcalf!

- Przepraszam, że tak późno, ale miałem problemy z sieczkarnią i musiałem dopilnować jej zreperowania. Casey, to jest pan Alfonso Castillo, ojciec Franceski, którą już miałaś okazję poznać...

- Bardzo mi miło! - Alfonso Castillo ujął dłoń Casey. -Francesca powiedziała mi, że pani tu zamieszkała. Jak się pani podoba Zachodni Teksas?

- Proszę do mnie mówić po prostu Casey. Bardzo mi się tu podoba. Urodziłam się w Cielo, gdzie krajobraz jest podobny...

- Casey jest córką Grahama Carmichaela - dodał cicho Bobby.

- No, to musisz doskonale znać się na ranczerstwie, Casey! - wykrzyknął Alfonso Castillo. - Jak się czuje ojciec?

- Z tego, co wiem, bardzo dobrze.

- Wyglądasz jak nowo narodzony! - stwierdziła Frankie, która w czasie rozmowy ojca z Casey obserwowała uważnie Bobby'ego. - Kiedy zdjęli ci gips?

- Na początku mijającego tygodnia. Ale muszę używać laski, żeby się noga pode mną nie załamała.

Frankie obróciła się z kolei do Casey:

- Pozwól ze mną, przedstawię cię wszystkim. A w tym czasie Bobby sam znajdzie bar.

Bobby uśmiechnął się tak czarująco, że Casey zadała sobie pytanie, czy jej kolana nie są aby jedynymi, które się pod wpływem tego uśmiechu ugięły.

- Czy mogę przynieść paniom coś do picia? - spytał Bobby. Zarówno Frankie, jak i Casey poprosiły o teksaski koktajl.

Bobby jeszcze raz poraził je swoim uśmiechem i zniknął. Gdy szły wzdłuż basenu, Frankie zauważyła:

- No tak, ta suknia dodaje ci parę lat Kiedy po raz pierwszy cię zobaczyłam, pomyślałam, że masz najwyżej szesnaście wiosen.

- Zawsze mi mówiono, że wyglądam na mniej lat, niż mam.

- Bobby musiał jednak dobrze odgadnąć. A więc jesteście małżeństwem cztery lata, jak mówiłaś?

- Nieco ponad cztery lata.

- No, to musisz być jeszcze starsza, niż sądziłam!

- Miałam osiemnaście lat, kiedy wyszłam za mąż...

- Mam nadzieję, że nie uraziła cię moja uwaga o młodszej siostrze? - zapytała Frankie po długiej chwili milczenia. - Nie chciałam cię, broń Boże, urazić. I podejrzewam, że to twoje oczy pozwoliły Bobby'emu rozpoznać... twoją dojrzałą kobiecość. .. Ale nie zapomnij mojej nieco złośliwej uwagi, że kobieta nie powinna zostawiać swego mężczyzny samego zbyt długo. Ja właśnie popełniłam taki błąd i bardzo drogo to mnie kosztowało. To, co mówię, traktuj jako przyjazne ostrzeżenie.

Casey nic na to nie odpowiedziała. Rozejrzawszy się dookoła, zmieniła temat:

- Ślicznie przybrane stoły! I co za wspaniałości! Sami wszystko przygotowaliście?

- Ależ skąd! Dostawcy. Jesteś głodna?

- Bardzo. Nie jadłam dziś lunchu, tylko śniadanie.

- No, to zaraz temu zaradzimy...

Minęła godzina, nim Casey zaczęła rozglądać się za Bobbym, który po przyniesieniu obiecanych drinków natychmiast się ulotnił.



Przeciskając się przez tłum gości, wreszcie go dostrzegła. Rozmawiał z grupką mężczyzn zgromadzonych wokół okrągłego stołu. Stół był zastawiony butelkami z piwem i po piwie. Od tego lata, kiedy się poznali, nie widziała jeszcze Bobby'ego tak odprężonego i miłego. Oczywiście pomogło w tym piwo. Z lekkim wahaniem skierowała kroki do stołu. Nie była pewna, czy powinna przeszkadzać. Ale gdy Bobby ją zobaczył, natychmiast zaczął wymachiwać ręką.

- Chodź tu, Casey! Jest tu kilka osób, które znasz! Kiedy podeszła bliżej, natychmiast rozpoznała znajome twarze, znane jej z rodeo. Powitano ją z hałaśliwą serdecznością, obcałowując i nawet rubasznie poklepując. Dała się ponieść ogólnej atmosferze i po minucie żartowała i zaśmiewała się wraz z nimi, jakby nigdy nie przestała przebywać w ich towarzystwie.

W pewnym momencie Bobby chwycił ją, usiadł na żelaznym krześle i posadził ją sobie na kolanach.

- A mówiłem wam, że ona tu ze mną jest! Nie chcieliście mi wierzyć. Teraz czeka was stawianie mi drinków przez cały rok. - Nachylił się i powiedział jej do ucha: - Jedni mówili, że cię ukrywam, bo się boję, żeby mi cię ktoś nie poderwał, inni, że ode mnie uciekłaś. Nie uciekniesz, prawda?

- Pijesz piwo na pusty żołądek - odparła z wyrzutem w głosie. - Nie byłeś jeszcze w bufecie, nic nie jadłeś...

- Wspaniale! - wykrzyknął, klepnąwszy się w udo. -

Prawdziwa żona! Ale zapomniałaś, że zrezygnowałaś z funkcji mojej pielęgniarki i zapowiedziałaś wyjazd - zakończył szeptem.

- Wobec czego świętujesz teraz pozbycie się mnie, tak?

- Jesteś okropnie drażliwa, cukiereczku.

- Myśmy tu nagadali twojemu mężowi, Casey - odezwał się jeden z mężczyzn. - Cztery lata po ślubie, a jeszcze nie sprawił sobie ani jednego potomka. Zła robota, bardzo zła! - Wszyscy zarechotali.

- Tłumaczyłem im, że pobierasz nauki w wielkim mieście i nie masz czasu na takie rzeczy - wyjaśnił Bobby.

- Ja jej się nie dziwię - odezwał się inny mężczyzna. - Kto by chciał przez cały czas przebywać z takim typkiem?

- Chodź ze mną do bufetu - zaproponowała Bobby'emu Casey, której nie odpowiadało ani siedzenie na jego kolanach, ani takie dowcipy.

- Dobry pomysł.

Wstał i poczekał aż Casey pożegna się ze wszystkimi. Objął ją ramieniem i odprowadził.

- Gdzie twoja laska? - spytała.

- Pojęcia nie mam. Ale nie jest mi potrzebna. Mam przecież twoje ramię.

Nie przeszkadzało jej, że Bobby mocno się na niej wspiera. Tak przed czterema laty chodził z nią po terenie rodeo, dając tym do zrozumienia, że są parą. Od tamtych czasów byli po raz pierwszy znowu tak blisko.

- Jak się bawisz? - spytał.

- A wiesz, że dobrze. Nie spodziewałam się spotkać tu tylu znajomych twarzy... Ludzie miło ze mną rozmawiali i pytali o ojca,

jakby sądzili, że nadal jestem z nim blisko. Nikomu nie wydawało się dziwne, że za ciebie wyszłam. A w każdym razie byli zbyt dobrze wychowani, aby wymienić nazwisko Steve'a.

- Nie byłbym wcale zdziwiony, spotykając go tutaj. Był w zeszłym roku.

Staneła jak wryta, a Bobby siłą rozpędu poszedł o krok dalej i zachwiał się pozbawiony wsparcia.

- Na przyszłość bądź łaskawa dać mi znać, kiedy zechcesz hamować - poprosił.

- Dlaczego mi przedtem nie powiedziałaś, że mogę się tu natknąć na Steve'a? - spytała, nie ruszając się z miejsca.

- Bo dopiero teraz to sobie uświadomiłem. A bo co?

- Nie pomyślałaś, że to ważna dla mnie informacja?

- Słuchaj, Casey, może o tym nie wiesz, ale świat jest pełen różnych dziwnych ludzi, między innymi odrzuconych narzeczonych. I nikt się tym nie przejmuje ani nie boi, że na kogoś takiego przypadkiem trafi.

- Może ty nie. Ty jesteś w wielkiej przyjaźni z byłą narzeczoną, wiem, ale ja jestem inna.

- Znowu zaczynasz?

- Skończmy z tym. - Pociągnęła go za rękaw. - Zaprowadzę cię do różnych smakołyków, w które wsiąknie nadmiar piwa przez ciebie wypitego.

- Nie jestem pijany - odparł z wielką godnością.

- Nie powiedziałam, że jesteś.

- Ale sugerowałaś. A poza tym, nie ja prowadzę samochód. Ja niesłychanie rzadko udzielam się towarzysko. Od przyjęcia tutaj w zeszłym roku nigdzie nie byłem. Dlaczego z powodu kilku piw robisz wielką historię?

- Nie robię żadnej wielkiej historii. Żartuję. Spójrz na stół. -  
Podprowadziła go bliżej. - Widzisz te wspaniałości?

- A ty już coś jadłaś?

- Frankie przyprowadziła mnie tu zaraz po przyjściu. Ale chętnie skubnę coś jeszcze. Masz talerz!

Bobby przyglądał się Casey, nakładając sobie na talerz po odrobinie z różnorodnych potraw i pomyślał, że jest tu dziś z najpiękniejszą kobietą na świecie. Najbardziej ponętą. Jej widok zapierał mu dech. Niestety w poniedziałek miała usunąć się z jego życia. Zdawał sobie sprawę, że tym razem separacja będzie ostateczna. Nie było najmniejszego powodu, by mieli się kiedykolwiek spotkać.

Chociaż był w tej chwili całkowicie spłukany i niezdolny do utrzymania żony, to nie brak pieniędzy stanowił powód końca marzeń o Casey. Powodem było to, że pozostawieni razem na pięć minut w jednym pokoju, natychmiast zaczęli skakać sobie do oczu.

Jemu nie przeszkadzało kłócenie się z kimkolwiek. Kłótnie to przecież zwykła rzecz. Nawet sprawiało mu przyjemność patrzeć na zaperzoną Casey. Ale ona straszyla piórka przy najmniejszej okazji. I bardzo wszystko przeżywała.

Może i prawda, że wypił dziś o kilka piw za dużo. Jest na przyjęciu, no nie? Okazja do odrzucenia zmartwień i zabawienia się... I zapomnienia, że za kilkanaście godzin Casey spakuje manatki i odjedzie.

Jedli w milczeniu. Casey miała rację: jedzenie było doskonałe, a on był głodny jak wilk. Bobby zdawał sobie sprawę, że Casey niezbyt dobrze się czuła w towarzystwie rubasznych kowbojów rodeo. Rzadko ich spotykał, bo nie brał już udziału w rodeo. To były tylko odległe wspomnienia.

Siedzieli naprzeciwko siebie przy małym stoliku ustawionym na trawie.

- Wcale mi nie brak rodeo - powiedział w pewnej chwili. Chciał dodać, że będzie mu brakowało Casey, ale coś go powstrzymało. - Może zatańczymy? - zaproponował, gdy papierowe talerze były już puste.

Orkiestra grała wolne melodie, nie wymagające wielkiego wysiłku od tancerzy. Bobby sądził, że sobie poradzi. A bardzo chciał zatańczyć. Pragnął choć przez kilka minut potrzymać Casey w ramionach.

- Jesteś pewien, że możesz? - spytała Casey. - Nie zaszkodziś sobie?

- Na pewno nie. Bardzo chcę, jeśli jesteś gotowa zaryzykować - odparł. - Nie należę do dobrych tancerzy - dodał.

- No, to spróbujmy. Nigdy z tobą nie tańczyłam.

W duchu pomyślała, że jeszcze wielu rzeczy nie robili wspólnie... Zaczerwieniła się. Bardzo by się zdziwiła, gdyby wiedziała, że Bobby w tym samym czasie pomyślał dokładnie o tym samym.

Na drewnianym parkiecie ułożonym na trawie przytulił ją mocno do siebie. Z konieczności położyła mu ręce na barku. Stwierdziła, że w ramionach Bobby'ego jest jej bardzo dobrze i że tańczy on wcale nieźle.

Bobby pomyślał, że pasują do siebie. Ich ciała zgodnie poruszały się w takt melodii.

Jeden utwór się skończył, orkiestra rozpoczęła następny. Tańczyli niby w jakimś czarodziejskim śnie. Nad głową mieli gwiazdy, wokół splecione ze sobą pary. Melodia była tęskna, słowa piosenki mówiły o miłości. Jego usta dotknęły jej warg. Casey zaniknęła oczy i westchnęła, jakby z radości, że spełnia się jej marzenie. Bobby zrobił to jeszcze raz.

Nie próbowała się od niego odsunąć. Taka myśl nie przyszła jej nawet do głowy. Kiedy podniósł wzrok, wiedział, że czeka go poważny kłopot. Pragnął Casey. Pragnął jej całym sercem... i ciałem.

- Czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo pragnę kochać się z tobą?  
- wyszeptał.

Jej wargi były wilgotne po ostatnim pocałunku. Otworzyła oczy i uniosła głowę. Oczy jej błyszczały jak diamenty.

- Naprawdę? - spytała.

- Naprawdę.

- Teraz?
- Teraz i zawsze. I wszędzie.
- Chcesz wrócić do domu?
- Tak, chcę wrócić do domu, kochanie.
- Przyjęcie będzie trwało jeszcze przez wiele godzin...
- Możemy mieć własne... przyjęcie. Tylko nas dwoje.
- Bardzo mi to odpowiada - wyszeptwała.

Bobby miał wrażenie, że w tym momencie na chwilę stanęło mu serce. Zaraz potem zaczęło walić jak szalone. Bez słowa wziął ją za rękę i wyprowadził z parkietu, zadowolony, że półmrok ukrywa wyraz jego twarzy. Zatrzymali się przy panu domu, aby się z nim pożegnać. Alfonso Castillo coś powiedział, że rozumie, iż Bobby jest osłabiony po wypadku, a on nie miał zamiaru wyprowadzać go z błędu.

Sam usiadł za kierownicą i w rekordowym czasie dotarł na swoje ranczo. Przed gankiem od razu wyskoczył z wozu.

- Nie chowasz auta? - spytała Casey.
- Jutro. Teraz nie mam czasu.

Porwał ją w ramiona i wniósł do domu... Sam nie wiedział, jak dotarł z Casey do sypialni. Nie zapalił światła, wystarczyła lampa w przedpokoju, do którego drzwi były otwarte. W półmroku widział ją, a to było przecież najważniejsze.

Obrócił Casey plecami do siebie i drżącymi palcami rozsunął suwak. Suknia opadła na ziemię, odsłaniając cudowne plecy. Nie miała na sobie stanika. Od tyłu sięgnął więc drżącymi dłońmi i objął krągłe piersi. Boże, jak on długo czekał na tę chwilę! Chyba przez

całą wieczność. Przygarnął ją do siebie, niemal wtopił się w jej plecy. Tkwiał tak przez chwilę. Potem obrócił Casey powolutku, jakby oglądał wspaniały prezent - najbardziej upragniony prezent ze wszystkich, jakie może ofiarować dobry los. Oboje zastygli wpatrzeni w siebie jak w jakieś święte obrazki. Casey nie zasłaniała się wstydliwie ani nie spuściła oczu. Patrzyła promiennym wzrokiem, a on wchłaniał te promienie i delikatnie wodził palcami po jej gładkiej skórze.

Co za piękna, wspaniała istota, myślał. Marzył o niej od lat, o kochaniu się z nią, ale nigdy nie przypuszczał, że jest aż taka cudowna, że spełni się jego najskrytsze marzenie, że Casey będzie na mego czekała.

W pewnej chwili stwierdził, że Casey sama przechodzi do ofensywy. Rozwiązuje mu krawat, rozpina koszulę, a potem zsuwa z ramion marynarkę i wreszcie go obejmuje, tuli się.

- To bardzo niesprawiedliwe, nie powinienem do tego dopuścić.  
- Zaśmiał się jak psotny chłopak. - Ty miałaś więcej roboty z rozebraniem mnie niż ja ciebie. U ciebie wystarczyło rozsunać tylko jeden suwak... - Szybko dokończył rozbierania się, ale miał poważne kłopoty ze ściągnięciem kowbojskich butów.

- Cholera! - zaklął. - Sam nie dam rady. Chichocząc pomogła mu.

- Nie jest ci zimno? - spytał w pewnej chwili, gdy zmagająca się z drugim butem.

- Raczej gorąco i trzęsę się ze strachu - odparła.



Nie dziwił się. Wiedział prawie na pewno, że Casey jeszcze nigdy nie miała mężczyzny, że on będzie pierwszym. I ostatnim, pomyślał. Jest jej mężem po wsze czasy. I on jej teraz pokaże, czym jest kochanie... W każdym razie postara się pokazać.

I tej nocy postarał się.

Po kilku godzinach głębokiego snu obudził Casey deszcz bębniący w blaszany dach domu. Deszcz był intensywny, a jego dudnienie bardzo miłe dla uszu - niby jakaś chóralna pieśń. Ciekawe, czy goście zdążyli przed nim umknąć z przyjęcia? Myśli jej jeszcze przez chwilę błąkały się wokół przyjęcia, które nagle wydało się przełomowym momentem w jej życiu, choć w pełni nie uświadamiała sobie jeszcze, dlaczego. Nagle otworzyła szeroko oczy i uśmiechnęła się. Doznała jakby olśnienia. Przecież przeżyła magiczną noc! Magiczną od chwili, gdy przytulili się do siebie na parkiecie, a potem gdy Bobby zabrał ją z parkietu... Potem przyjechali tu. I magia trwała aż do ostatnich chwil przed zaśnięciem... w jego sypialni. Teraz leżał obok niej, głowę miał w połowie pod poduszką...

Owego lata, kiedy z nim jeździła, wielokrotnie widziała go tak właśnie śpiącego. Ale wtedy oglądała go ze swojego łóżka, w którymś z tanich moteli, gdzie zatrzymywali się podczas wędrówek z zespołem rodeo. Gdyby wówczas wiedziała, co traci, nie kochając się z nim.

Uświadomiła sobie, że pragnie tego mężczyzny nie na dzień, nie na jedną noc, ale na zawsze. Chyba go pokochała... Tak, pokochała go. Po raz pierwszy zdała sobie z tego sprawę tak wyraziście i bez żadnych wątpliwości.

Myśl, że czuje się uczuciowo związana z Bobbym, już ją nie dziwiła i nie napawała lękiem. Prawdopodobnie kochała go przez wszystkie minione lata, ale była zbyt niedojrzała, by to jasno pojąć.

Teraz rodziło się ważne pytanie: co dalej? Kochała Bobby'ego, chciałyby z nim zostać, chciała być jego żoną, ale jednocześnie nie miała zamiaru rezygnować z dawnych marzeń, by zostać weterynarzem. Więc, co robić? To pytanie dręczyło ją i nie pozwalało myśleć o niczym innym.

A Frankie ostrzegała ją, że mężczyzny nie wolno zbyt długo zostawiać samego, jeśli się chce, by małżeństwo przetrwało. Musi więc wybierać. Czego pragnie najbardziej? A dlaczego nie może mieć jednego i drugiego? Uległa pokusie i delikatnie pogłaskała plecy mężczyzny. Głowę miała teraz pełną wspomnień o minionych godzinach spędzonych z Bobbym. Było cudownie! Jakże chciałyby znowu przeżyć to samo. I przeżywać, przeżywać...!

Przysunęła się bliżej niego i na ramionach złożyła mu cały rząd pocałunków, a potem z tym samym zamiarem powędrowała w dół kręgosłupa. Nie zdążyła zabrnąć zbyt daleko, bo Bobby obrócił się, przygarnął ją i ułożył na sobie. Miał jeszcze zamknięte oczy, ale mrucał jak kot, a może dziki kocur szykujący się do skoku na swą ofiarę.

Czasami słowa są zbędne, by opisywać, co stało się potem. Dla Casey i Bobby'ego było jasne i oczywiste, że to się stanie.

---

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

---

Wczesnym popołudniem Casey robiła coś w kuchni, gdy usłyszała z głębi domu odgłosy życia. Bobby pewno się obudził! Kiedy koło południa wymknęła się z łóżka, Bobby jeszcze spał. Postanowiła go nie budzić. Wzięła prysznic w łazience w przedpokoju, ubrała się i poszła do kuchni.

Czuła głód i pomyślała sobie, że Bobby także nie pogardzi dobrym śniadaniem, gdy się obudzi. Zaparzyła już kawę, wysmażyła kilkanaście platków boczku i przygotowała się do smażenia jajek.

Usłyszała kroki i po chwili Bobby wszedł do kuchni. Nie chcąc po tej „poślubnej nocy” wielkiego powitania, zerknęła tylko na męża, opierając się chęci zarzucenia mu rąk na szyję. W obcisłych dżinsach, białej rozpiętej na piersiach koszuli odsłaniającej muskularny tors, ze świeżo ogoloną twarzą, Bobby był okazem męczyzny, jakiego pożądają wszystkie kobiety. Włosy miał jeszcze wilgotne po myciu, ale porządnie zaczesane. Siłą rzeczy, aby to wszystko odnotować, zerknięcie musiało być nieco dłuższe i parokrotnie powtórzone. Bobby udawał, że nie widzi zachwyconych spojrzeń żony.

- Wspaniale pachnie kawa - stwierdził jeszcze nieco zaspanym głosem.

Najwyraźniej prysznic nie całkiem go obudził lub też zmęczenie było zbyt wielkie.

- Zaraz będzie śniadanie... - odparła.

- Śniadanie? - Spojrzał na kuchenny zegar. - O czwartej po południu?

- Śniadanie. Tak się nazywa pierwszy posiłek dnia. - Mówiła spokojnym głosem nadal obrócona ku kuchni.

Ponieważ nie skomentował jej słów, odważyła się ponownie zerknąć. Bobby siedział za stołem, małymi łyżkami popijał kawę. Wzrok wlepił w Casey. Nie miała pojęcia, dlaczego on tak się gapi. Ubrała się przecież w to, co zwykle - dżinsy, koszulę, pantofle domowe... Włosy spięła z tyłu w koński ogon, bo nie miała czasu na wyszukane uczesanie,

- Czujesz się dobrze? — spytał, gdy cisza zaczęła im obojgu dokuczać.

W milczeniu postawiła przed nim duży talerz jajeczniczy z boczkiem i drugi talerz z tostami. Doląka kawy do jego kubka, nalała sobie i zasiadła naprzeciwko przy takim samym talerzu z jajecznicą.

Co miała mu odpowiedzieć na głupie pytanie? Fizycznie była wyczerpana i... obolała. Emocjonalnie była zupełnie zagubiona. Głowa... Właśnie, głowę miała jakby wymiecioną z wszelkich inteligentnych myśli. Jednak jako osoba dobrze wychowana i nie chcąc sprawiać kłopotu własnymi dolegliwościami, odparła:

- Świetnie. A ty?

Zrobił prześmieszoną minę, potem potrząsnął głową i zaczął pałaszować jajecznicę, jakby od miesiąca nic nie jadł. Wyczyścił talerz w rekordowym czasie i nalał sobie trzeci kubek kawy. Dopiero wtedy się odezwał:

- Jesteś na mnie zła? Wściekła? Oburzona?

Casey zerwała się od stołu i zaczęła zbierać brudne naczynia.

Zrobiwszy to, napełniła miednicę gorącą wodą, nalała płynu do zmywania i włożyła do niej talerze. Następnie przetarła stół i bufet. Przez cały ten czas ani razu nie spojrzała na Bobby'ego.

- Dlaczego miałabym być zła czy oburzona? - spytała wreszcie niepewnie.

- Po pierwsze, ubiegłego wieczoru wypilem więcej, niż powinienem. - Głęboko westchnął.

- To nie było żadne kryminalne przestępstwo. Na przyjęciach często tak się zdarza...

- Casey?!

- Co takiego?

- Przestań ścierką robić dziurę w bufecie i spojrzysz na mnie!

Obróciła się i oparła plecami o ladę. Skrzyżowała na piersiach ręce i spojrzała na Bobby'ego, starając się, by wyglądało to naturalnie.

- Słucham cię?

- Nie chciałbym się dowiedzieć czegoś przykrego. Ani pomyśleć, że tak mogło być. Mam nadzieję, że wczoraj... że nie zrobiłem nic bez twojej woli i chęci...

Dopiero teraz, patrząc na Bobby'ego, zdała sobie sprawę, że jest mu równie głupio w jej obecności, jak i jej w jego. Czy żałuje tego, co między nimi zaszło? Czy on ją przeprosza? A może chce dać do zrozumienia, że zaszło to, co zaszło, tylko dlatego, że on wypił za dużo piw?

- Jestem osobą dorosłą, Bobby - odparła spokojnie. - Potrafię o sobie decydować. Ubiegłego wieczoru prawie nie piłam alkoholu. I jeśli sobie cokolwiek przypominasz z minionej nocy, to musiałeś spostrzec, że to ja byłam aktywnym uczestnikiem.

- Nie wypilem tyle, by tego nie pamiętać.

- Ostatnio twoja pamięć czy też jej brak wprowadza wielkie zamieszanie w naszych stosunkach... - zauważyła. - I pewne napięcie.

Wymruczał pod nosem jakieś przekleństwo.

- Czy nadał zamierzasz wyjechać w poniedziałek? - zapytał po dłuższej ciszy, jaka zapanowała w kuchni.

Casey zamarła. O co on właściwie pyta? Czy chce, żeby zrezygnowała ze swoich planów i marzeń?

- Muszę się przygotować do jesiennego semestru - powiedziała ostrożnie.

Bobby wstał, dopił kawę i podszedł z kubkiem do zlewu. Starannie go wypłukał i odstawił do szafki, po czym bez słowa wyszedł z kuchni.

Została sama i zaczęła zastanawiać się nad swoją sytuacją: co miała mu powiedzieć? Że go kocha? Że chce z nim zostać? Że będzie szczęśliwa, mogąc tu mieszkać do końca życia?

Inna sprawa, że myśl o pozostaniu tu na zawsze bardzo jej odpowiadała. Podobnie jak wizja budzenia się rano u boku ukochanego mężczyzny.

Ale jej studia...

Marzyła od dzieciństwa, by zostać weterynarzem. Pokochanie Bobby'ego nie ugasiło miłości do tego zawodu.

Ale pamiętała ostrzeżenie Frankie. Pozostawienie go samego na ranczu było niebezpieczne. Czatowała tu Frankie i jej podobne. Bobby był zbyt przystojny, by kobiety przechodziły koło niego obojętnie.

Frankie miała do zaoferowania Bobby'emu wszystko, co tylko mógł sobie wymarzyć...

Nagle uświadomiła sobie, że Bobby nigdy nie powiedział, że ją kocha. Casey, cukiereczku. Casey, kochanie. To tak, ale nigdy wprost: kocham cię. Nawet minionej nocy nie wyszeptał słowa „kocham”. A Casey nie była naiwna. Wiedziała dobrze, że mężczyzna wcale nie musi kochać kobiety, by uprawiać z nią miłość. Mężczyźni nie są tacy sentymentalni i romantyczni jak kobiety. Kobieta musi kochać, by się bez reszty oddać mężczyźnie. Bobby na pewno wiele razy kochał się z Frankie...

Im dłużej o tym myślała, tym większa ogarniała ją złość. Czego on właściwie od niej chce? Czego się po niej spodziewa?

Usłyszała jego kroki. Gdy się teraz pojawił, był już kompletnie ubrany. Casey była akurat na etapie rozpatrywania słuszności zamiaru oskarżenia go, że przez minione lata nie istniejącego małżeństwa zdradzał ją z córką sąsiada. Na szczęście rozsądek przeważył i sama zaśmiała się w duchu na myśl o bezsensie tego pomysłu.

Te cztery lata za obopólną zgodą nie istniały. Istniała natomiast terazniejszość i z nią należało się uporać. Czy ostatnia noc coś zmieniła? Czy może była oderwanym epizodem? Ponieważ już



poprzednio zdała sobie sprawę, że rozwód rozdzieli ich na zawsze, a rozwód wydawał się konieczny, to ubiegła noc pozostanie tylko wspomnieniem...

- Bobby?

- Słucham?

Wydawało jej się, że słyszy irytację w jego głosie.

- Czego ty się po mnie spodziewasz? - spytała spokojnie. - Czego ode mnie oczekujesz?

Bobby stał bez ruchu, sprawiał wrażenie człowieka, który toczy ze sobą walkę wewnętrzną, szuka właściwych słów. Casey dobrze go poznała i wiedziała, że nie należy do ludzi umiejących łatwo wyrazić to, co czują i co chcieliby komuś przekazać. Był człowiekiem czynu, a nie słów.

Pogmerał przy kapeluszu, po czym naciągnął go bardziej na oczy i dopiero wtedy odpowiedział chrapliwym głosem:

- Niczego od ciebie nie oczekuję, Casey. Bardzo hojnie opłaciłaś wszystkie moje usługi. - Obrócił się na pięcie i wyszedł.

Casey odebrała te słowa jak smagnięcie biczem.

Przez resztę popołudnia i wieczór Casey sprzątała i pucowała niewielki dom, aż wszystko lśniło. Potem poszła do swego pokoju i spakowała rzeczy.

Było jej bardzo ciężko, ale nie potrafiła zapłakać. Ból, jaki odczuwała, był zbyt wielki. Zastanawiała się, jakiej odpowiedzi oczekiwała na swoje pytanie. Zawarli niegdyś głupią ugodę, którą on wypełnił co do joty. Czego więcej mogła od niego oczekiwać?



Zapadł mrok, kiedy usłyszała warkot uruchamianego samochodu. Wyrzała przez okno i zobaczyła, że Bobby odjeżdża nową furgonetką, która zastąpiła rozbitą w wypadku. Nie próbowała się zastanawiać, dokąd wyjeżdża. Poza tym wydawało się jej, że wie, dokąd.

Kiedy zaczęło świtać, wiedziała też, że Bobby nie wróci przed jej odjazdem. W nocy dwukrotnie się budziła i chodziła do jego sypialni, by sprawdzić, czy jest w domu. Łóżko było zasłane i puste.

Szybko coś przełknęła i popiła podgrzaną kawą z poprzedniego wieczoru. Załadowanie rzeczy do samochodu zajęło tylko chwilę. Zwłaszcza że jej samochód stał przed domem od powrotu z sobotniego przyjęcia.

Zastanawiała się, czy nie zostawić mu pożegnalnego listu, ale zrezygnowała z tego pomysłu. Bo niby po co? Co mogłaby w takim liście napisać? Może podziękować za danie jej czasu, by mogła dorosnąć i zakochać się w nim? Albo żeby się nie martwił, gdyż wkrótce otrzyma pocztą podpisane papiery rozwodowe?

Opuściła ranczo, nie widząc się ani ze Slimem, ani z Pablem, bo nie poszła do stajni. Nie chciała widzieć nowego żrebaka.

Przedtem Casey myślała, że opuszczenie przed czterema laty rodzinnego domu i ojca było najtrudniejszą decyzją, jaką w życiu podjęła. Teraz wiedziała, że najtrudniejszą decyzję podejmuje obecnie. Tamta była niczym w porównaniu z bólem, jaki odczuwała teraz, opuszczając człowieka, którego kochała.

---

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

---

Bobby odczuwał straszliwy pulsujący ból pod czaszką. Nie wiedział, gdzie jest i co robi, tam gdzie się znalazł. Może uległ kolejnemu wypadkowi? A może brał udział w rodeo i byk zrzucił go z grzbietu? Leżał jak sparaliżowany, myśląc, że jeśli się ruszy, to przestanie istnieć, rozpadając się na kawałki. Miał nadzieję, że lada chwila znajdzie jakieś wyjaśnienie i że okropny ból zelżeje.

Zaczął wodzić oczami, mając nadzieję, że trafi na jakiś promyk światła, który go nie oślepi, a pomoże rozpoznać miejsce. Gdzie on, do diabła, jest? Co się z nim dzieje?

Czuł przedziwne bulgotanie w brzuchu i nagle zapragnął wymiotować. Z wielkim wysiłkiem uniósł się i usiadł. Obiema dłońmi podtrzymał głowę, łokcie podparł na kolanach. Jednocześnie zorientował się, że jest w łóżku. W dzinsach? Co on robi ubrany w łóżku, w butach na nogach?

Zaczął sobie przypominać strzępy wydarzeń poprzedniego wieczoru. Pojechał do miasta... Poszedł do baru i zaczął zamawiać whisky. Bez lodu, bez wody. Później whisky zaczął przeplatać piwem. Potem wdał się w bójkę. Ale nie pamiętał z kim. Dalej już nic nie pamiętał.

Zwłókł się z łóżka, chwiejnie wstał, wymacał drogę do łazienki. Zaczął walczyć z butami, które nie dawały się ściągnąć.

Wreszcie uporał się z nimi. Rozebrał się i wszedł pod zimny prysznic.

Trochę oprzytomniał i zaczął myśleć... Czego innego mogłeś się spodziewać, głupi draniu, wyrzucał sobie. Co innego mogła zrobić? Rzucić wymarzone studia? Nagle się w nim zakochać? Zapomnieć, że jest córką Grahama Carmichaela i zgodzić się na jakiegoś chłystka?

No, bo jest zwykłym chłystkiem. Ależ Casey byłaby zbudowana, widząc go dziś rano! Miał szczęście, że koło baru znajdował się motel. Nie był w stanie prowadzić wozu. Nie był nawet pewien, czy teraz powinien.

Po zimnym prysznicu wziął gorący, mydląc całe ciało. Zakończył znowu zimnym. Po omacku trafił na ręcznik i wytarł się. Wracając do łóżka, stwierdził, że coś mu skapuje z góry. Pomacał głowę i zaklął. Zapomniał wytrzeć włosy. Wrócił do łazienki. Potem podszedł do łóżka i z jękiem ulgi rzucił się na nie. Był cały obolały. Na szczęście mógł sobie poleżeć. Nigdzie się nie spieszył, nikt na niego nie czekał.

W domu pojawił się dopiero późnym, popołudniem. Jego ubranie cuchnęło piwem, whisky i papierosami. Natychmiast się przebrał. Następnie odbył spacer po domu. Oczywiście zauważył, że wszędzie jest wysprzątane. Tylko że dom wydawał się okropnie pusty. W gościnnej sypialni, z której korzystała Casey, nie było jej rzeczy. Zmieniła też pościel, nie pozostawiła nawet własnego zapachu.

O co właściwie chodzi? W jego życiu nic się przecież nie zmieniło. Był sam, jest sam. Ma ranczo, ma przyjaciół, prowadzi swoje życie. I ma przed sobą przyszłość, choć nie taką, jaką planował, kiedy kupił ranczo.

Właściwie Graham Carmichael nieświadomie zrobił mu przysługę. Bobby zobaczył siebie oczami innych. I nie podobało mu się to, co zobaczył, więc postanowił zmienić siebie. A Casey Carmichael figurowała wyłącznie w jego marzeniach... Z jej powodu przestał pić i z jej powodu porzucił rodeo, osiadając na ranczu.

To korzyść z poznania jej. Wielka korzyść! Powinien być jej za to wdzięczny. Tylko że niestety zaszło coś, co teraz jest jedynie wspomnieniem. Już nie musiał sobie wyobrażać, jak wygląda kochanie się z nią. I dlatego będzie mu znacznie ciężiej żyć samotnie.

Jako karę za grzechy Bobby wyznaczył sobie wczesne wstawanie i ciężką fizyczną pracę. Zawsze było coś do zrobienia, ulepszenia, zreperowania i nigdy dość czasu, by temu wszystkiemu podołać.

Wieczorem padał na łóżko śmiertelnie zmęczony, zbyt znużony, by choćby trochę pomarzyć, a o świcie zrywał się, by po wypiciu kawy przystąpić do harówki.

Któregoś dnia Slim zauważył, że Bobby schudł. Ale na tę uwagę Bobby tylko wzruszył ramionami. To nie było ważne. Zapiął pasek o jedną dziurkę dalej i powrócił do roboty.

Stracił rachubę czasu i nie miał pojęcia, jaki to jest dzień, kiedy usłyszał dzwonek telefonu. Właśnie wchodził do domu. Odebrał w kuchni.

- Tak?

- Jak tam, przyjacielu? - usłyszał głos Chrisa. - Już brykasz?

Przeszło ci?

W pierwszej chwili Bobby pomyślał, że pytanie Chrisa dotyczy Casey. Czy mu przeszło po jej wyjeździe. Ale przecież

Chris nie wiedział, że wyjechała. Nie rozmawiał z nim od wielu tygodni.

- Znasz mnie przecież. Jestem zbyt głupi, by dać się zastrzelić, zbyt trudny do uduszenia.

- Jak Casey?

- Chyba dobrze...

- Co to znaczy chyba dobrze? Nie ma jej na ranczu?

- Nie potrzebowałem już pielęgniarki, więc wróciła na studia.

- Myśleliśmy, że ona zostanie z tobą...

- To był bardzo głupi pomysł. Ona ma do skończenia specjalizację na weterynarii.

- Nie mogła poczekać na ranczu do początku jesiennego semestru?

- Powiedziała, że musi się do niego przygotować.

- Kiedy dokładnie wyjechała?

- A czy ja wiem, Chris? Nie zapisałem tej pamiętnej daty w kalendarzu.

- Byłeś i pozostałeś upartym osłem, Bobby!

- Nie opowiadaj bzdur. Co miałem zrobić? Związać ją i zmusić, by pozostała? Ale by było! Oddałaby sprawę do sądu. Już bym siedział.

- Czy ona wie, że nadal jesteście małżeństwem?

- Wie.

- I co na to mówi?

- Że się tym zajmie.

- Rozumiem. Maribeth zasugerowała, żebym zadzwonił i zaprosił was oboje do nas. Dzieciaki już przestały kichać..

Pomyśleliśmy sobie, że byłoby miło was widzieć. Pokazać twojej żonie życie wielkiego miasta...

- Dziękuję za pamięć. Może to byłby i dobry pomysł, ale wiesz, jak to jest. Stale robota na głowie...

- Rozumiem, Bobby. Wiem, jak to jest. No, to kończę... Gdybyś mnie potrzebował, to wiesz, że zawsze jestem do twojej dyspozycji. Dawno już nie gadaliśmy...

- Wiesz, że lubię twoje towarzystwo, Chris. Będę bardzo szczęśliwy, jeśli zechcesz do mnie przyjechać. Sam lub z całą rodziną. Zawsze jesteście mile widziani na ranczu.

Bezwiednie pocierał głowę, ni stąd, ni zowąd przypominając sobie kaca, jakiego się dorobił przed kilkoma tygodniami, zaraz po wyjeździe Casey.

- Ale stawiasz warunek, by nie rozmawiać o Casey? - zadał brutalne pytanie Chris.

- Nie ma co mówić o Casey. Wiesz to dobrze. I co cię tak nagle obchodzi Casey? Nawet jej nie znałeś przed moim wypadkiem. I nic się nie zmieni, jeśli idzie o mnie i o Casey...

- I będziesz tak tkwił na tym twoim ranczu pogrążony w smutnych myślach...

- Pograżony w smutnych myślach? - Bobby roześmiał się nieszczerze. - Chyba żartujesz! Ja nie mam czasu na myślenie.  
- W każdym razie zadzwoń, jak będziesz chciał pogadać...  
- Oczywiście, zawsze to robię. Ale wymyślił - mruknął do siebie Bobby po odłożeniu słuchawki. - Pograżony w smutnych myślach! Brakowało tylko, żeby powiedział, iż płacze za utraconą miłością...

W Teksasie jesień pojawiła się jak zawsze późno i wkraczała powoli. Chociaż kalendarz zapowiadał jej przyjście we wrześniu, pierwsze oznaki ustępowania letnich upałów dały się zauważyć dopiero w październiku.

W tym roku upały męczyły Casey bardziej niż kiedykolwiek. Po prostu przyzwyczała się do suchego klimatu Zachodniego Teksasu. We wschodniej części stanu wilgotność powietrza była większa i to ją właśnie męczyło. Bardzo zadowolona obudziła się któregoś październikowego dnia i stwierdziła, że w ciągu jednej nocy temperatura bardzo spadła.

Po trudnych paru tygodniach miała wreszcie opanowaną rutynę akademickiego dnia. Na początku semestru złapała chyba jakiegoś wirusa i kilka dni przeleżała w łóżku. Jeszcze niezbyt zdrowa zwlokła się jednak z łóżka i zaczęła regularnie chodzić na wykłady, aby na samym początku nie zawalić studiów. Jednak kosztowało ją to dużo. Czuła się bardzo słaba. I niezależnie od choroby nieszczęśliwa.

Każdą wolną chwilę wykorzystywała na odpoczynek, a po wykładach mobilizowała resztkę sił, by dowlec się do domu, szybko coś przekąsić i położyć się spać. W czasie weekendów właściwie nie

wstawiała z łóżka i sypiała po kilkanaście godzin na dobę. Garściami połykała zakupione w pobliskiej aptece wi- . tarniny, aby szybko odzyskać siły.

Kiedy przedtem myślała o tym pierwszym roku specjalizacji weterynaryjnej, zawsze wyobrażała sobie, że będzie chłoneła każde słowo wykładowcy. Tymczasem musiała się zmuszać, by chodzić na wykłady, a jej myśli błądziły gdzieś daleko i nie robiła potrzebnych notatek.

I tak to trwało. Nieustannie widziała ranczo i twarz Bobby'ego. Co on w tej chwili robi? Albo co robiliby razem, gdyby tam pozostała? Czasami przypominała się jej Frankie. Frankie w towarzystwie Bobby'ego. Oboje śmieją się i żartują. Są w sypialni Bobby'ego...

I to był główny problem Casey: nie potrafiła pozostać myślami w teraźniejszości, w jakiej się teraz obracała. Myśli jej wędrowały albo w przeszłość, którą znała, albo w przyszłość, której nie była pewna. Czuła się zawieszona w próżni, między przeszłością a przyszłością. Poddawała się rutynie, chodziła na wykłady i ćwiczenia, jadła, spała...

Przypomniała sobie sentencję, której nazwisko autora uleciało jej z pamięci: „Życie się wydarzyło, nim skończyłeś je planować”. Życie, które teraz jej się wydarzyło, było całkowicie bezpłodne... Z każdym dniem stawała się coraz bardziej przygnębiona.



Kiedy w któryś czwartek wróciła do domu, podjęła decyzję, że przestanie się nad sobą użalać i wreszcie coś zrobi, aby poprawić własne samopoczucie.

Co takiego mogła zrobić? Olśniła ją nagle myśl, że mogłaby zadzwonić do Bobby'ego. Ot, żeby dowiedzieć się, jak wszystko toczy się na ranczu. Nie wspomni nawet o Frankie. To nie jej sprawa, z kim Bobby się zadaje...

Tak, najpierw zadzwoni do Bobby'ego, a potem pójdzie do kina na jakąś wesołą komedię.

Wystukując numer, myliła się kilkakrotnie. Nikt długo nie odbierał. Pewno nie ma go w domu, pomyślała i już zamierzała odwiesić słuchawkę, kiedy usłyszała zadyszany głos:

- Już jestem, jestem! Kto mówi?
- Bobby...?
- Tak. Kto mówi?
- Casey...

Nastąpiła długa cisza, a po niej ostrożnie wypowiedziane dwa słowa:

- Cześć, Casey...
- Cześć. - Czekala chwilę, by zaczął mówić, ale on milczał.

Ciągnęła więc dalej: - Tak sobie pomyślałam, że do ciebie zadzwonię. Chciałam się dowiedzieć, jak wszystko idzie. Myślałam o tobie.

- Myślałaś o mnie?

Jego zdziwienie spowodowało, że się nastroszyła. Dlaczego on myśli, że ona kłamie?

- Czy to takie dziwne? - spytała zaczepnie.

- Owszem, dziwne.

- Często o tobie myślę..

- Miło mi to słyszeć - odparł raczej cierpko.

Szkoda, że on nie może usłyszeć, jak mi bije serce, pomyślała. A może słyszy, skoro ona sama czuje walenie aż w skroniach?

- Jesteś pewno bardzo zajęty o tej porze roku... - powiedziała i znowu musiała czekać, by usłyszeć odpowiedź:

- Sporo, ale nie za dużo. Odrobiliśmy już letnie zaległości z czasu, kiedy leżałem po wypadku...

- To wspaniale! Nie masz kłopotów z nogą?

- Żadnych. Jest jak nowa. Był tu facet z towarzystwa ubezpieczeń. Nudził mnie, abym podpisał zrzeczenie się roszczeń, skoro wszystko jest już dobrze. Pewno boją się cywilnego procesu.

- Tak się zastanawiałam... - zaczęła, ale przestraszyła się swojego pomysłu. - Nieważne, nieważne. Nie będę cię dłużej zatrzymywać. Chciałam się tylko dowiedzieć, czy wszystko w porządku...

- Dokończ, cukiereczku! Powiedz, nad czym się zastanawiałaś? - zapytał ciepło.

Serce Casey rozpuściło się. Rozpoznała to ciepło, ten ton. Tak do niej się zwracał tej nocy, kiedy się kochali... Tylko do niej się tak

zwracał. Nigdy do nikogo innego. Casey przełknęła ślinę i zdobywając się na odwagę, wydusiła z siebie:

- Tak się zastanawiałam, czy przypadkiem nie miałbyś czasu odwiedzić mnie podczas tego weekendu. - Ze zdumieniem słuchała własnych słów. Nie miała pojęcia, że o to spyta. - W poniedziałek nie mamy akurat wykładów, ponieważ jest jakieś święto czy też konferencja wykładowców, a może coś innego... Nie wiem. Więc sobie pomyślałam, że może...

- Hej, Casey! Cukiereczku! Czy dasz mi wtrącić słowo?

- Oczywiście.

Ogarnął ją lęk, że Bobby odmówi. Poczuli się okropnie głupio, że dała mu do zrozumienia, iż w jakimś stopniu zależy jej na nim.

- Myślę, że w tak wspaniałym celu uda mi się stąd już jutro wyrwać - oświadczył Bobby śpiwnym teksaskim akcentem. - o której masz jutro ostatni wykład?

- Jutro? Jaki to dzień jutro...? Aa, piątek. Ostatni wykład jest o pierwszej, w domu będę o drugiej trzydzieści.

- Postaram się przyjechać na tę godzinę...

- Pamiętasz adres?

- Drogi cukiereczku, nie zapomniałem najdrobniejszej rzeczy, która ciebie dotyczy.

Każde jego słowo pieściło tak, jakby był obok i głaskał ją. Oblała ją fala gorąca i ugięły się pod nią kolana.

- Więc do zobaczenia jutro - powiedziała zduszonym głosem.

Czy jej się wydawało, że Bobby chrząknął jakby rozbawiony.  
Czyżby odgadł jej reakcję?

- Do zobaczenia jutro! Możesz na to liczyć – powiedział i  
odwiesił słuchawkę.

Scandalous

---

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

---

Kiedy Casey wróciła do domu w piątek po południu, Bobby już czekał na nią na ulicy w furgonetce. Zaparkowała tuż za nim. Serce waliło jej jak oszalałe. Bała się, że za chwilę zemdleje. Nie wiedziała, co powiedzieć, jak zacząć rozmowę. Nie dotarło do niej ani jedno słowo z wysłuchanego przed chwilą wykładu. Myśli miała zajęte rozpatrywaniem różnych wersji rozmowy z Bobbym. Rozmowa powinna być lekka, obojętna...

Bobby okazał pełną gotowość odwiedzenia jej. Nie miała pojęcia, czego on teraz oczekuje. Prawdę powiedziawszy i ona nie wiedziała, czego oczekuje po jego wizycie.

Musiał usłyszeć, że ona podjeżdża, ponieważ wyszedł z furgonetki, nasuwając kapelusz na czoło, by nie było widać wyrazu twarzy. Podeszedł do jej samochodu z pewnym wahaniem.

- Długo na mnie czekałeś? - spytała.

Zastanawiała się, czy go uściskać, czy też poczekać na jakiś znak świadczący o tym, że jej nie odtrąci. Jakże on wspaniale wygląda! Wsiadła z samochodu i podeszła o krok. Oboje jednocześnie powiedzieli:

- Schudłaś.

- Schudłeś.

Casey była zaskoczona jego uwagą i pominięciem odpowiedzi na pytanie, czy długo czekał. Lekko wzruszyła ramionami i dodała:

- Ale ty chyba schudłeś bardziej niż ja. Jesteś jeszcze szczuplejszy niż bezpośrednio po powrocie ze szpitala.

- Ciężko pracowałem. A ty? Co porabiasz? Jak idzie nauka? Z każdą sekundą wydawał się mniej zadowolony. Patrzyła na niego z rosnącym niepokojem.

- Byłam ostatnio trochę chora - odparła. - Złapałam chyba jakiegoś wirusa, ale już czuję się lepiej.

Nagle zdała sobie sprawę, że nadal stoją na chodniku przy jej samochodzie.

- Coś takiego podejrzewałem. Wyglądasz tak, jakby lada podmuch Wiatru mógł cię zmieść...

Bardzo jej się nie podobała ta uwaga. Czyżby Bobby zapomniał, że zawsze była szczupła? Może pomylił jej sylwetkę z pełnymi kształtami Frankie? Przestań myśleć o Frankie i Bob-bym tam w Teksasie, skarciła się. On jest teraz tutaj. I to jest najważniejsze.

- Jadłeś coś w drodze? - spytała. - Oczywiście nie. Myślę, że oboje skorzystalibyśmy na regularnych posiłkach o regularnej porze.

Zerknął na dom, w którym mieszkała, podrapał się za uchem i powiedział:

- Dobry pomysł. Skoczymy gdzieś coś przekąsić.

- Wszystko, co potrzeba, mam w domu - odparła.

- Nie ma sensu, abyś po dniu zajęć zajmowała się jeszcze kuchnią - oświadczył stanowczo.

Może miał rację. Czekala ich poważna rozmowa. Lepiej niech odbędzie się na gruncie neutralnym.

Pojechali furgonetką Bobby'ego. W drodze Casey usiłowała wymyślić jakiś obojętny temat rozmowy, ale nic jej nie przychodziło do głowy.

- Na ranchu wszystko idzie dobrze? - zapytała z braku innego pomysłu.

- Wszystko jak dawniej. Zbyt wiele do zrobienia i zbyt mało czasu, by to wszystko zrobić.

- Dlaczego nie wynajmiesz jeszcze jednego pracownika? Patrzył przed siebie i jedyną oznaką, że usłyszał, było poruszenie szczęką.

- Nie mogę sobie na to pozwolić - mruknął wreszcie.

Zasygnalizował skręt w lewo i wjechał na parking przed restauracją szybkiej obsługi.

Weszli do środka, zajęli miejsca i złożyli zamówienia kelnerce. Potem wróciła do tematu:

- Masz do dyspozycji pieniądze, które ci przesłałam. Dlaczego jesteś taki uparty?

Zmroził ją lodowatym spojrzeniem.

- To są twoje pieniądze.

- Nie, one są twoje, Bobby. Taka była umowa, więc to są twoje pieniądze. Zachowujesz się niemądrze.

- Po pierwsze, nie było żadnej umowy. Ty mi zaproponowałeś, ale ja z miejsca powiedziałem, że nie wezmę żadnych pieniędzy. Nie chcę ich. Nie...

- Jeśli zamierzasz powiedzieć, że ich nie potrzebujesz, to nie uwierzę - przerwała. - Z tego, co widzę, zaharowujesz się na śmierć.

To nie ma najmniejszego sensu, skoro są pieniądze. Nasze pieniądze. Jestem twoją żoną...

- Nie ożeniłem się z tobą dla pieniędzy, Casey. I mam już dość mówienia na ten temat.

- Jeśli nie dla pieniędzy się ze mną ożeniłeś, to dlaczego? Z litości?

Odchylił głowę do tyłu i powiedział chłodno:

- Nie możemy być pięć minut razem bez skakania sobie do oczu. Żałuję, że tu dziś przyjechałem.

Trafił ją w samo serce. Potrafił celnie strzelać słowami. Casey chwilę milczała, żeby nie dać się ponieść, kilka razy głęboko odetchnęła, po czym spokojnie odpowiedziała:

- Tamtego lata wiele się kłóciliśmy, prawda?

- Dobrze tamten czas pamiętam i mogę cię zapewnić, że mieliśmy wiele nieporozumień.

- Tylko ty się wściekałeś, kiedy ci się zdawało, że za bardzo zbliżam się do któregoś z twoich kumpli.

- Nie będę cię przeproszał za moją reakcję na twoje zachowanie. A zachowywałaś się jak naiwne dziecko. Nie mogłem spuścić cię z oka. Stale pakowałaś się w jakieś kłopoty.

- Tak jak na przykład tamtego wieczoru z tymi czterema napastnikami, którzy obiegli mój samochód. - Casey szeroko się uśmiechnęła. - Niby błędny rycerz pospieszyłeś mi z pomocą.

Bobby uśmiechnął się.



- Miałaś zawsze więcej odwagi niż rozumu - mruknął i wyciągnął do niej dłoń.

W tym samym czasie zrobiła to również ona. Ich dłonie spotkały się na środku stołu i splotły.

- Bez twojej pomocy, Bobby, nie byłoby mnie tu dziś - powiedziała ciepło. - Może zrozumiesz, dlaczego to dla mnie takie ważne móc zrobić coś dla ciebie. Mam teraz furę pieniędzy. Wydaję bardzo mało. Odłożyłam dość, by rozpocząć własną praktykę weterynaryjną. Nie potrzebuję... Miałam nadzieję, że skorzystasz z moich pieniędzy, by rozkręcić ranczo...

Kelnerka przyniosła zamówione dania, więc szybko cofnęły dłonie. Ustawiła je przed nimi: Zaczęli jeść w milczeniu. Po kilku minutach Casey spytała:

- Czy jest coś, co mogę zrobić, co powinnam powiedzieć, byś zmienił zdanie i skorzystał z tych pieniędzy dla dobra rancza?

Odwrócił głowę i długo milczał, patrząc w okno. Potem pochylił się nad talerzem i dłużył w nim widelcem, jakby nie był wcale głodny. Wreszcie westchnął i odłożył widelec.

- Tak sobie myślę, że nie czułbym się dobrze, biorąc twoje pieniądze. To wyglądałoby, jakbyś kupiła moje usługi. Za żadne skarby nie chciałem i nie chcę, żebyś tak pomyślała.

- Przecież to była zwykła wymiana usług, nic więcej. Nie pojmuję, dlaczego nie chcesz tego zrozumieć.

Bobby odsunął talerz i ponownie odchylając do tyłu głowę, skrzyżował ręce na piersiach.

- Jestem w pełni świadom tego, że nie pojmujesz, Casey. Wiem, byłem głupi. Myślałem sobie, że któregoś dnia zmienisz zdanie. Miałem nadzieję, że... któregoś dnia... — Nie dokończył. Upił kilka łyków mrożonej herbaty. Ostrożnie odstawił szklanę na stół i spojrzał Casey prosto w oczy. - Powiem ci. Nadszedł czas, abyśmy raz na zawsze wszystko sobie powiedzieli. I wyjaśnili sytuację. I tak zbyt długo czekaliśmy. Może to moja wina. Ja zbyt długo czekałem, żeby ci powiedzieć... - Patrzył na parking za wielkim oknem, jakby zafascynowany rzędami samochodów. - Gdybym nie narozrabiał podczas naszego ostatniego weekendu na ranczu, moglibyśmy złożyć do sądu wniosek o anulowanie małżeństwa jako nie skonsumowanego. - Nie odwracał wzroku od parkingu. - Bardzo mi przykro, że ci się narzuciłem i zmusiłem do czegoś, co... - Zdobył się wreszcie na to, by spojrzeć jej w oczy. - Powinienem być zrozumieć. .. Nie powinienem być na tyle niemądry, by ubrać sobie, że potrafię odgrywać rolę rycerza ratującego niewiastę w rozterce. Pomyślałem sobie wtedy, że jeśli cię uratuję przed smokiem, to ty... - Nie dokończył. Ona uczyniła to za niego:

- Padnę ci w ramiona? Tak siebie widziałeś, Bobby? Jako rycerza? - spytała cichutko.

- Głupi byłem, prawda?

- To cudowne, co zrobiłeś...

Milczał zapatrzony tym razem we własne dłonie ułożone na stole. Kiedy wreszcie podniósł głowę, w oczach Casey zobaczył łzy.

- Tak, to było najgorsze, co mogło mi się wówczas przydarzyć. Zakochałem się w tobie.

Casey nie wierzyła własnym uszom. Może źle dosłyszała, gdyż Bobby mówił bardzo cicho. Chyba jednak nie, bo wyraz jego twarzy potwierdzał prawdę cicho wypowiedzianych słów.

- Bobby! Chcesz powiedzieć, że mnie kochasz...? - zapytała ledwo słyszalnym szeptem.

- Aha... No to co? Wielka rzecz! To bardzo śmieszne, prawda? Mam, na co zasłużyłem. Chyba powinienem był z miejsca wziąć te pieniądze, grzecznie podziękować i zapomnieć o całym incydencie. Ale ja, głupi, usiłowałem znaleźć jakiś sposób, żeby dowieść, że jestem godny ciebie kochać. Myślałem tylko o tym, żeby, broń Boże, nie skusić się i nie tknąć pieniędzy...

- Dlaczego nigdy mi nic nie powiedziałeś?

- Nie mogłem. Nie wolno mi było. To były moje marzenia, a nie część ugody, by zbłąkana białogłowa padła w ramiona rycerza.

Spojrzenie Casey na całe jej życie, na Bobby'ego, ich wzajemne stosunki, uległo nagłej zmianie. Wszystko nagle wydało się inne. Dotychczasowe oceny należało przewartościować. Zdawała sobie sprawę, że wszystko, ale to wszystko, co jej dotyczy, ulegnie radykalnej zmianie.

- I tego lata, kiedy byliśmy razem, kiedy dzieliliśmy jeden pokój w motelu, kiedy z uśmiechem opowiadałeś swoim przyjaciółom o swym szczęśliwym małżeństwie, to nie było udawanie?

- Tylko wtedy udawałem, kiedy chciałem sprawiać wrażenie, że mnie nie interesujesz. W rzeczywistości przez cały czas myślałem tylko o tym, by cię wziąć w ramiona i całować. I kochać się z tobą... Nigdy przedtem nie mieszkalem z kobietą w ten sposób. Nie byłem przyzwyczajony do tego, by nie brać tego, co chcę. Ty byłaś jednak inna. Mogłem tylko marzyć.

- Zaśmiał się krótko. - W życiu nie wziąłem tylu zimnych pryszniców, co wtedy... tego lata. Było to ćwiczenie na odporność i wytrzymałość.

- I nigdy nie pisałeś słowa?

- Byłaś za młoda, Casey. Oczywiście mogłem grać na twoich emocjach, chwilowych uczuciach i mogłem cię po prostu uwieść. To nie byłoby trudne. Ale ja cię kochałem. Nie mogłem tego zrobić. I nie chciałem, byś mi się oddała z wdzięczności. Nadal tego nie chcę.

- Dlatego nie chciałeś, bym się tobą opiekowała po wypadku?

- Dlatego. Ale uległem nadziei, że przeprowadzę akcję nieco inaczej. Nie wyszło mi. - Ujął jej dłoń i bawił się palcami.

- Wszystko sam popsułem. Nie powinienem był narzucać ci się tej nocy. Wiedziałem to, ale uległem pokusie i wszystko spaskudziłem.

- Jesteś moim mężem.

- Ale kochanie się z tobą nie było częścią zawartej przed czterema laty umowy.

Jeszcze jeden klocek łamigłówki trafił na swoje miejsce.

- I dlatego w przeddzień mojego wyjazdu z rancza zapytałeś, czy jestem na ciebie zła?

Nagle zajął się porównywaniem jej dłoni ze swoją i składając obie, mierzył ich wielkość. W odpowiedzi na pytanie tylko skinął głową.

- Sądziłeś, że kochając się ze mną, sprzeniewierzyłeś się umowie?

- Ano właśnie - przyznał niechętnie.

Zupełnie zaskoczona pokręciła głową. Jakże mogła tak źle interpretować sytuację i to pytanie, które teraz wyjaśnione nabierało zupełnie innego znaczenia.

- Pójdziemy do mnie? - spytała.

- Dobrze.

Wydawał się zadowolony, że przestała mu zadawać trudne pytania. Wstał, biorąc ze stołu rachunek.

Patrzyła za nim, jak idzie do kasy, sięga do kieszeni i wyjmując portfel, a z niego kilka banknotów. Mimo że Bobby znacznie schudł, nadal wyglądał wspaniale. I pewno nadal oglądają się za nim kobiety, pomyślała.

Wracali w milczeniu, każde z nich zatopione we własnych myślach. Kiedy weszli do mieszkania i zamknęli za sobą drzwi, Casey wzięła Bobby'ego za rękę i zaprowadziła do niewielkiej sypialni.

- Co mi tu chcesz pokazać? - spytał zdziwiony, rozglądając się dokoła.

- Nie chcę ci niczego pokazywać. Chociaż nic nie wiadomo... W tej chwili chcę cię pozbawić kilku warstw odzieży - powiedziała z uśmiechem i przystąpiła do rozpinania mu koszuli.

- Co ty wyrabiasz, Casey? - zapytał zmieszany.

- Chcę ci udowodnić, że nie tylko ty jesteś uwikłany w emocjonalne wzloty i upadki. Czy ty wiesz, co ja mogłam myśleć, kiedy się dowiedziałam, że nadal jestem mężatką? A jak mogłam się czuć, kiedy zobaczyłam całującą cię Frankie, flirtującą z tobą na zabój? Wiem, że nie lubisz dużo mówić, nad słowa przedkładasz czyny. A więc przejdziemy do czynów. - Uśmiechnęła się z rozbijającym zażenowaniem. - Czy ty zdajesz sobie sprawę, ile czasu straciliśmy tylko dlatego, że nie wydusiłeś z siebie, co do mnie czujesz?

Bobby usiadł na krawędzi łóżka i spojrzał na Casey zdumiony.

- Chcesz powiedzieć, że... - zaczął.

- Chcę powiedzieć, że najprawdopodobniej byłam w tobie zakochana od czterech lat i nie zdawałam sobie z tego sprawy, do chwili gdy weszłam do szpitalnego pokoju i zobaczyłam cię bladego, leżącego bez ruchu... - Podeszła i zarzuciła mu ręce na szyję. - Właśnie wtedy zdałam sobie sprawę, że nie potrafiłam cię zapomnieć. Zawsze istniałeś w mojej podświadomości, przez cały czas porównywałam każdego spotkanego mężczyznę z tobą.

- Mój cukiereczku! - szepnął, tuląc się do niej. Casey delikatnie przeczesała mu palcami włosy.

- Kocham cię, Bobby! Bardzo cię kocham! I żałuję, że tyle czasu minęło, zanim to sobie uświadomiłam. A jeszcze więcej, nim postanowiłam to powiedzieć. Kiedy już byłam gotowa, powstrzymywała mnie myśl, że ty, nie kochając, możesz mnie odtrącić. Teraz rozumiesz, co czułam, kochając się z tobą...

Ukrył twarz w dłoniach.

- Po tej nocy myślałem, że cię na zawsze utraciłem.

- Po tej nocy myślałam, że znalazłam szczęście, a potem...

- Nie mów nic więcej... - Zamknął jej usta delikatnym pocałunkiem.

Zapadł mrok. Leżeli spleceni w uścisku na dość wąskim łóżku. Na ziemi z jednej strony leżał koc i prześcieradło, z drugiej dwie poduszki.

Casey zastąpiła poduszkę ramieniem Bobby'ego i myślała sobie, że nie ma na świecie lepszego podparcia głowy i że mogłaby już na zawsze pozostać w tej pozycji. Ale życie ma swoje wymagania i zaczął jej doskwierać głód, a poza tym nabrała ochoty na prysznic. A więc, mimo zniewalającego błogostanu, spytała półgłosem:

- Śpisz, Bobby?

Musiał być bardzo zmęczony. Najpierw kilka godzin jazdy, a potem rozmowa w restauracji, no i to ich pogodzenie się...

- Jeśli śpię, to mnie nie budź - odparł. - A jeśli nie śpię, to daj mi spać.

Ciepłym spojrzeniem ogarniała sylwetkę męża. Jej najprawdziwszego męża. Ukradkiem łykała łyzy szczęścia.

- Musiałeś jadać bardzo nieregularnie - stwierdziła. - Jeszcze kilka tygodni, a byłbyś jak szczapa. Będziemy musieli jakoś temu zaradzić.

- Bardzo mi brakowało twojej kuchni - mruknął, nadal z zamkniętymi oczami.

- Wiesz co? Mam wspaniały pomysł! Kiedy przyjadę do domu na Święto Dziękczynienia, to nagotuję tyle potraw, żeby ci starczyło do Bożego Narodzenia. A na Boże Narodzenie przyjadę na dwa tygodnie. Potem wrócę na przerwę semestralną podczas zimowych wakacji i znowu przyrządzę masę potraw. W ten sposób do wakacji utyjesz tyle, ile potrzeba. Byle nie za bardzo! - zastrzegła. -

Odpowiada ci to?

- Jeszcze jak odpowiada, ale czy mówisz poważnie? - zapytał, otwierając jedno oko.

- Zupełnie poważnie.

- I będziesz miała czas na takie częste przyjazdy?

- Oczywiście. Spróbuj mnie tylko powstrzymać, a wtargnę na ranczo siłą.

- Będę zawsze czekał na ganku z milionem pocałunków...

- Wiesz co? Miałaś dobry pomysł, nie wysyłając przed czterema laty tych papierów o unieważnienie małżeństwa - stwierdziła zalotnie.

- Jak to dobrze, że doszłaś do tego wniosku. - Przytulił ją do siebie. - Myślałem, że będziesz wściekła.

- Może i byłam troszkę na początku, ale teraz uważam, że to było szczęśliwe przeoczenie. W ten sposób nie będę musiała



tłumaczyć naszemu synowi... a może córce, że pognaliśmy do ślubu, ponieważ on czy ona byli już w drodze...

- O czym ty mówisz? Nie będziemy mieli żadnych dzieci, póki nie skończysz studiów. Nie ma sensu komplikować ci życia bardziej, niż już samo się skomplikowało.

- Bobby... jeśli moje obliczenia są dobre, to rozpoczniemy wychowywanie potomka za jakieś siedem miesięcy.

Przyglądała się wyrazowi nagłej konsternacji na jego twarzy, przewidując nieuniknione pytanie. Nie czekała długo. Oparł się na łokciu i zapytał czule:

- Kiedy się o tym dowiedziałaś?

- Zaczęłam składać razem wszystkie fakty, drobne objawy i zdałam sobie sprawę, że wirus, który, jak sądziłam, przyplątał się do mnie, trzyma się zbyt długo i ma zupełnie inny charakter. To było jakieś piętnaście minut temu...

Długo patrzył jej w oczy. W jego wzroku dostrzegła nieme pytanie. Nie dziwiło jej to. Przecież to ona zadzwoniła do niego na ranczo, a nie on do niej... Chciał wiedzieć, czy jej telefon nie był podyktowany odkryciem, że jest w ciąży.

I nagle twarz rozjaśniła mu się uśmiechem.

- I ty chcesz być lekarzem? Musisz jeszcze długo się uczyć, żeby później nie wmawiać mi, że klacz ma katar, kiedy gotowa jest rodzić. Gratulacje, kochanie! - Pocałował ją, potem spoważniał. - Tamtej nocy nie powinienem był ryzykować i narażać cię... Nie myślałem jasno.

- Ja też nie. Z drugiej strony, gdybyśmy tak wszystko planowali, to byłoby znacznie gorzej dla naszego potomstwa. Wcale nie żałuję, że jestem w ciąży. Cieszę się, że noszę w sobie twoje dziecko. No cóż, stracę najwyżej jeden semestr.

- A ja już dopilnuję, żebyś dokończyła studia. Nie przepuszczę ci. Nie chcę mieć na sumieniu tego, że przeszkodziłem ci w zrealizowaniu odwiecznego marzenia.

Casey przetoczyła się na Bobby'ego. Aż jęknął pod jej ciężarem. Pocałowała go mocno w usta. Ciąg dalszy był nieuchronny. Potem, głaszcząc go, powiedziała:

- Nic się nie martw, mój ty cukiereczku... skoro ja jestem twoim cukierczkiem, to ty też możesz być moim... Dałeś mi więcej słodczy, niż mogłam sobie wymarzyć.

---

## EPILOG

---

- Idzie mama, idzie mama! - wykrzyknął mały Jamie. -Mamo, tu jesteśmy!

Bobby z trudem utrzymywał w ramionach wyrywające się dziecko. Wolał go jednak trzymać, niż ryzykować zgubienie się w tłumie.

Bobby, Maribeth i Chris stanowili małą wysepkę w morzu głów, bo na uroczystość wręczenia dyplomów przybyły tłumy.

- Teraz będziesz musiał nazywać mamę pani doktor mama - zapowiedział synkowi Bobby, tuląc go do piersi.

- Coś ty mu mówił? - spytała Casey, podbiegając do męża.

- Że odtąd musi cię nazywać panią doktor mamą. - Wolną ręką objął żonę.

- Daj mi go! - Casey wyciągnęła ręce i po chwili chłopiec wylądował w jej ramionach.

- Boże, jaki on jest ciężki! - wykrzyknęła. - To ciężar nie dla mnie. - Ostrożnie postawiła syna na ziemi i wzięła go za rączkę.

- Oczywiście, że w twoim stanie nie powinnaś dźwigać ciężarów - zauważyła Maribeth. - To było bardzo nierozważne z twojej strony.

- Casey, co to ma znaczyć?! - Bobby stanął jak wryty. - Powiedziałaś mi, że nie ma mowy... Zapewniłaś mnie... - Przerwał, gdy cała trójka, łącznie z Casey, wybuchnęła śmiechem. Potem Casey spuściła oczy i udając skruchę, wyznała:

- Wiesz, jak to jest... Czasami powie się cokolwiek, by od drugiej osoby uzyskać to, czego się chce... - Wspięła się na palce i pocałowała go w usta. - Przyznajesz chyba, że często tak się robi?

- Nie w naszym domu! - zaprotestował Bobby, wywołując kolejny wybuch śmiechu. Widać było, że Bobby jest zły. - Cieszę się, że tak dobrze potrafisz was rozbawić. Rozmawialiśmy o tym, Casey, i uzgodniliśmy... - zaczął mówić z wyrzutem w głosie.

- Wiem, wiem, wszystko wiem. Ale spojrzysz na to z innej strony: nie będzie zbyt dużej różnicy wieku między jednym dzieckiem a drugim. To nam bardzo pomoże w ich wychowaniu. Poza tym mam już dyplom i będę miała więcej czasu...

- O tak, oczywiście! - powiedział ironicznie. - Ty?! Wolny czas?! Ty nigdy w życiu nie będziesz miała dość czasu, by zrobić wszystko, co chcesz i co musisz zrobić. Trzeba było niemal przyduszać cię do ziemi, żebyś choć trochę odpoczęła, kiedy nosiłaś Jamiego. A teraz czeka cię własna praktyka weterynaryjna...

- Widzicie, co ja muszę cierpieć od rana do nocy? - Casey zwróciła się po odsiecz do Maribeth i Chrisa. — Ten człowiek tylko narzeka. Przez cały czas narzeka. Nie może nawet na chwilę zamilknąć. Jak mam sobie z tym radzić? Już wiem... - Pocałowała go i Bobby rzeczywiście zamilkł.

- Jestem głodny, mam - obwieścił Jamie.

- Ja też. Już idziemy na jedzonko. - Zwróciła się do Maribeth i Chrisa: - Mamy rezerwację u Brayana, ruszajmy. Jestem bardzo szczęśliwa, że mogliście przyjechać i dotrzymać towarzystwa

Bobby'emu. Wiem, że nie ma nic nudniejszego, niż uczestniczenie w charakterze widza w takiej uroczystości jak dzisiejsza. Wymaga to wielkiego samozaparca.

- Nie opuściłabym tej uroczystości za żadne skarby - odparła Maribeth, ściskając Casey. - Jestem z ciebie bardzo dumna, że przetrwałaś, że się nie załamałaś. Wiem, że to były dla ciebie trudne lata. Studia, mąż, dziecko, gotowanie...

- Tak, na szczęście Bobby był zawsze przy mnie, gdy go potrzebowałam. Zrobił tysiące kilometrów między ranchem a naszym mieszkaniem tutaj...

- Dość gadania! - oświadczył Bobby. Wziął na ręce syna i zarządził: - Idziemy! Przy odrobinie szczęścia znajdziemy naszą furgonetkę. W tym tłoku nic nie wiadomo... Chris, macie już pokój?

- Nie. Wracamy dziś na rancho w Agua Verde. Przez pewien czas zostaniemy na ranchu. Dzieci już tam są. Opiekuje się nimi siostrzenica Maribeth. A wy tu zostajecie?

- Dziś jeszcze tak. Już prawie wszystko wywieźliśmy, zostało tylko tyle, by można było spędzić jedną noc. Jutro zapakujemy resztę rzeczy na furgonetkę i pożegnamy to nasze mieszkanie na zawsze. Dość mam wędrówek tam i z powrotem.

Wbrew pesymistycznym przewidywaniom Bobby'ego szybko odnaleźli furgonetkę Chrisa i pojechali nią wszyscy pod mieszkanie Casey. Tam na podjeździe stała furgonetka Bobby'ego i samochód Casey.

- Kiedy kupisz żonie nowy samochód? - spytał Chris. - Jej cacko zaczyna się starzeć.

- Wielokrotnie już jej mówiłem, ale ona nie chce nawet o tym słyszeć.

- Tym samochodem uciekliśmy, żeby się pobrać - wyjaśniła Casey. - On ma dla mnie wartość emocjonalną.

- Można go pozłocić i wstawić do rodzinnego muzeum. Tak jak się robi z pierwszymi bucikami dziecka - powiedział Chris.

- Bardzo dowcipne, ha, ha! -mruknęła Casey. -A poza tym to nieprawda, co mówi Bobby. Chętnie przyjmę drugi wóz. Potrzebny nam nieco większy ze względu na dzieci. Ale tego się nie pozbędę.

- Ja też jestem do niego przywiązany - przyznał się Bobby. - Nie chciałbym go stracić.

- Zawiadomiłaś ojca o dzisiejszej uroczystości? - spytała Maribeth.

- Nie. Nic by to nie zmieniło. Mój ojciec jasno postawił sprawę, że nie chce mieć ze mną nic wspólnego. Było to dawno, ale on się zaciął.

- Może powinnaś dać mu drugą szansę, Casey. Twoje dzieci powinny znać swoich dziadków, prawda, Chris? - Maribeth spojrzała wymownie na męża.

- Podzielam w pełni twoje zdanie - odparł. - I jestem pewien, że twój ojciec, Casey, oszaleje na punkcie wnuków. Mój ojciec oszalał, chociaż na początku wcale się nie palił do tego, by być częścią naszego życia. Bardzo dawno temu ojciec był najważniejszą osobą w

moim życiu. Potem się z niego usunął, ale, dzięki Bogu, jakoś doszliśmy do porozumienia. I bardzo skorzystały na tym dzieciaki...

- Mój ojciec też był najważniejszą osobą w moim życiu. Bobby nie ma żadnej rodziny. Mam ją tylko ja... Sama nie wiem... Nie jestem pewna, czy wnuki zmieniłyby jego stosunek do mnie...

- Do spotkania w restauracji - powiedział Chris i wsiadł z Maribeth do swego samochodu.

Bobby, Casey i Jamie pojechali czerwonym samochodem Casey.

Restauracja, gdzie zarezerwowali stół, znajdowała się w pobliskim miasteczku. Do stołu poprowadziła ich tajemniczo uśmiechnięta hostessa. Przy nakrytym stole siedział Graham Carmichael! Jej ojciec! Casey stanęła jak wryta. Nie widziała ojca od kilku lat. Nie były to przychylne mu lata. Pamiętała ojca jako tryskającego energią szpakowatego mężczyznę. Teraz był siwy i lekko przygarbiony.

Ojciec nieporadnie wstał i patrzył na córkę, czekając z widoczną obawą na jej reakcję. Rozbłysły mu tylko oczy, gdy w ramionach Bobby'ego, który wysunął się z za Casey, jakby chciał ją chronić, dostrzegł Jamie'ego.

I wszyscy, Maribeth, Chris i Bobby, spojrzeli na Casey, czekając, by pierwsza coś powiedziała. Wiedziała, że powinna to zrobić, ale nie mogła znaleźć słów...

- Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, Casey, że się tu pojawiłem... - zaczął, ponieważ córka ciągle milczała. - Ale Bobby zadzwonił do mnie przed dwoma tygodniami i powiedział, że dziś

otrzymujesz dyplom. Wyraził opinię, że być może będę chciał spotkać panią doktor Metcalf i jej syna... - Zamilkł, głos mu się załamał. - Bardzo mnie... wzruszył jego telefon...

Casey obróciła się do Bobby'ego. W oczach miała łzy wzruszenia.

- Wiedziałaś, że zastanę tu ojca i nic mi nie powiedziałaś?

- Myślałaś, że jesteś jedyną, która może mieć własne tajemnice, cukiereczku? A poza tym, czy ty zawsze musisz się kłócić?

- Nie chcę się kłócić, tylko ci podziękować. I pocałować. -

Pocałowała go.

Ale nie pobiegła do ojca. Coś ją powstrzymywało. Przez tyle lat ojciec nie chciał jej znać. Wiele z tego powodu wycierpiała, nie skarżąc się nikomu. Nawet Bobby'emu nie mówiła, jak ją dręczy myśl, że z rodzonym ojcem nie może podzielić się własnym szczęściem. Wzięła głęboki oddech i postąpiła krok w stronę ojca. Bobby chyba bardzo dobrze zrobił. Dał Ojcu drugą szansę i ojciec zrozumiał.

Graham Carmichael, jakby odczytując wszystkie myśli Casey i widząc jej wahanie, podszedł do niej, wyciągając rękę:

- Wiem, że nie zasługuję na wiele, Casey, potraktowawszy cię tak, jak potraktowałem... - zaczął. - Nawet nie czytałem twoich listów. Jednak nie szukam usprawiedliwienia. Postąpiłem źle i bardzo z tego powodu cierpię. Ale po telefonie Bobby'ego pomyślałem, iż jest może nadzieja, choć nikła, że mi wybaczysz. Już przeprosiłem twojego męża. Nie miałem też racji co do niego. To najporządniejszy



człowiek, jakiego mógłbym sobie życzyć dla mojej córki. Myliłem się co do ciebie, Bobby! Mam odwagę przyznać się do tego...

Bobby uśmiechnął się.

- Wcale się pan nie mylił, panie Carmichael. Jest pan wnikliwym sędzią charakterów. Ja się zmieniłem i to w dużej mierze dzięki panu. Gdyby nie pan, nie poznałbym Casey. Nie potrafiłbym ocenić siebie przedtem. Dzięki pańskim oczom poznałem swoje ułomności. W sumie to dzięki panu mam żonę, którą uwielbiam, a w najbliższym czasie będę miał już dwójkę dzieci...

Po policzkach Casey spływały łzy.

Chcąc przywrócić weselszy nastrój, wtrącił się do rozmowy Chris:

- Rzeczywiście zmieniłeś się, Bobby. Byłeś znany jako człowiek małomówny, a teraz prezentujesz się jako gaduła. Dość tego! No cóż, człowiek może się zmienić, jeśli bardzo chce. Ale siadajmy, bo zanim zaczniemy jeść, zamkną kuchnię.

Casey ujęła dłoń ojca i przytuliła się do niego. A gdy już odzyskała głos, z uśmiechem powiedziała:

- Chodź tu, dziadku, przedstawię ci twojego wnuka... Podeszła do Bobby'ego trzymającego na rękach syna, objęła go ramieniem.

- Tato, to jesteśmy my, najszczęśliwsza para pod słońcem, a to jest twój wnuk Jamie. Drugiego jeszcze noszę pod sercem....

**KONIEC**